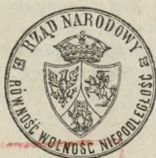
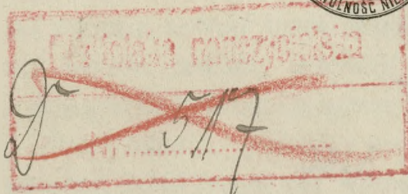
Rok 1863.

Rok 1863

OBRAZY I WSPOMNIENIA.









W WARSZAWIE
Nakładem Gebethnera i Wolffa
w Lutym
1916.

Książeczka niniejsza odbita w tłoczni

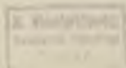
WŁ. ŁAZARSKIEGO

w Warszawie, pod kierunkiem Zygmunta Łazarskiego; łamał K. Fiedler, odbił A. Węgierowski, składali: M. Drapczyński, J. Marciniak, Z. Kępski, M. Starzyński i L. Szaudynajtys





Za zezwoleniem Censury Niemieckiej.



PRZEDMOWA.

Gdzie krzyże na tych mogiłach? gdzie te mogiły same? zapadły w ziemię bez śladu, zaorał je pług, zrównała zła ręka ludzka. Ale, w pamięci potomnych, żyją ci, co snem nieprzespanym, we krwi młodzieńczej, w grobach tych legli. I pokaże ci chłopak wiejski miejsce pod lasem, na polanie, wśród sosen odwiecznych, w ustroniu na skraju wioski, zdejmie kapelusz słomiany z konopiastej głowy i szepnie: tam leżą powstańcy!

Powstańcy!... polskie wojsko... nasi... jakie smutne, jakie tragiczne słowa. Ci „nasi", to „polskie wojsko" muszą się zawsze w sercu i myśli Polaka łączyć z nieznaną na pustkowiu mogiłą, z celą więzienną, z drogą na Sybir, z lochem kopalni...

A pół wieku temu furczały nad nimi chorągiewki, brzęczały szable u boku, tryskało życie

z płomienistych oczu. Nadzieja i zapał wiodły ich w pole, na tysiąckroć silniejszego wroga, a męstwo tych garstek, szalona ich odwaga i pogarda śmierci, zdumiewały nieprzyjacielskiego żołnierza.

Minęło... zagasło... lecz nigdy, nigdy nie zapomni Polska o swoich bohaterach i obrońcach. Marzył im się jakiś wielki, królewski sen. Tylu z nich za sen ten zapłaciło życiem. Więc, choć porwali się do czynu nad siły, choć synowie odpokutowali za ich poryw młodzieńczy, czyż można ich za to potępić, czyż można ich nie kochać!

Nam wszystkim śni się dziś znowu ów sen odwieczny. W dobie przełomu, w godzinie oczekiwania przypomnijmy

„Rok 1863"

i poświęćmy wszystkim jego uczestnikom łzę serdecznej pamięci i modlitwę bratnią.

Niech im zafurkoczą znów ułańskie chorągiewki, zabrzmi trąbka bojowa i, z długiego „dymu pożarów", wybuchnie wreszcie hejnał jutrzniany.



W OBOZIE LANGIEWICZA.

Pewnego dnia, wyszedłszy na miasto, zobaczyłem koło Kleparza konnych powstańców w białych kapotach i czerwonych krakuskach, brakowało im tylko pałaszy i lanc. Dowiedziałem się od nich, że są z oddziału Langiewicza i że przyjechali po zakupno prowiantów, bo stoją obozem w Goszczy, trzy mile od Krakowa. Policya nie zaczepiała ich wcale, widząc uwijających się po mieście.

Mój zamiar pójścia do oddziału stał się bliższym urzeczywistnienia, kiedym zobaczył powstańców z tak bliskiego obozu; cieszyłem się, że będę pod tak dzielnym i sławnym służył dowódzcą. Zmówiłem się teraz z jednym równym mi wiekiem kolegą, Wiktorem S..., aby z nim razem pójść do powstania; on także do tego wzdychał i czekał tylko sposobności, aby uciec z domu. Powiedział mi, że ojciec jego ma dubeltówkę, którą on ze sobą zabierze;

w moich oczach był bardzo szczęśliwym, nikt nie uwierzy jak mu zazdrościłem tej dubeltówki. Ja miałem patrontasz z ładunkami, on zaś dubeltówkę bez ładunków, razem mieliśmy dopiero to, co dla jednego było potrzebnem do powstania. Pieniędzy on nie miał żadnych, ja zaś tylko jednego reńskiego. Miałem wprawdzie złoty zegarek i łańcuszek, który dostałem od ciotki, ale nie chciałem przedmiotów tych ani sprzedawać ani zastawiać, uważając je za pamiątki.

Umówiłem się z Wiktorem, że na drugi dzień po południu pójdziemy do powstania, ale aby niczyjej nie zwrócić uwagi, będziemy jak zwykle w klasie, dopiero o trzeciej godzinie przy zmianie profesorów wyjdziemy ze sali. Tak się też stało jakeśmy uprojektowali. W domu wszystko cichaczem zapakowałem i zawinąłem w pasek.

Następnego dnia, jak gdyby nigdy nic zajść nie miało, pierwszą godzinę po południu byłem na wykładzie, gdy wybiła trzecia godzina szturchnąłem nieznacznie w bok Wiktora i wyszedłem ze sali, w parę minut później i on za mną się ukazał przed bramą techniki. Pobiegliśmy prędko na Szpitalną ulicę po moje rzeczy; z nikim się nie spotkałem, bo wszyscy byli na wykładach, potem udaliśmy się na Zwierzyniecką ulicę do jego domu, z którego wnet wrócił, niosąc zawiniętą strzelbę w papier. Udaliśmy się na Podgórz, tam zgodziłem fiakra jednokonnego, żyda, za reńskiego do Michałowic. Po godzinnej jeździe na mocno trzęsącym wózku, stanęliśmy szczęśliwie u granicznej rogatki; zapłaciwszy żyda, zostało mi w kieszeni cztery centy.

Było już około piątej godziny, gdyśmy wyszli z fiakra i ujrzeli powstańca, stojącego z karabinem na warcie. Serca nam zabiły z radości na ten widok, uważnie przyjrzeliśmy się mu, potem weszliśmy na komorę, gdzie była cała kompania strzelców na służbie, przeznaczona do konwojowania furgonów, które codziennie z Krakowa przychodziły do obozu. Zaczęliśmy się im badawczo przyglądać, po większej części leżeli na słomie, rozpostartej na ziemi. Malowniczą była rozmaitość ich ubrania.

Jedni czyścili broń, drudzy, paląc fajki, opowiadali o bitwach, jakie już przebyli, inni znowu śpiewali patryotyczne piosnki, świeżo ułożone w powstanie, wszyscy mi się zdawali wesołymi i szczęśliwymi. Połykałem każde ich słowo, widziałem w nich bohaterów i zazdrościłem im przebytych bitew i niebezpieczeństw. Byli między nimi i chłopcy w naszym wieku, co nas bardzo cieszyło, że nie sami tak młodzi będziemy. Pośród tego rozglądania i przysłuchiwania się, przeszło nam kilka godzin. Od obiadu nic nie jedliśmy, a jednak nie czuliśmy głodu.

Późnym wieczorem nadeszły furgony z Krakowa dla obozu Langiewicza;—nie znając drogi do Goszczy, postanowiliśmy przyłączyć się do nich, i choć noc była bardzo ciemna, poszliśmy z nimi.

Droga była nadzwyczajnie zła, ledwośmy nogi wyciągali z błota, aż pot lał się z nas ze zmęczenia, gdyż musieliśmy śpiesznie iść, chcąc nadążyć koniom. Gdyśmy już zaczęli ustawać, poprosiliśmy furmanów, aby nam pozwolili wsiąść na wóz, a gdy tego nie odmówili, jechaliśmy już dalszą drogę.

W podróży naszej przysłuchiwaliśmy się ciągle opowiadaniom z nami jadących powstańców. Wiktor tak się zasłuchał, że wypuścił z ręki dubeltówkę, która tak nieszczęśliwie spadła na ziemię, iż ją przejechało koło i pogięło lufy. Chociaż nie była moją, bardzo jej żałowałem, gdyż tyle razy na nią spoglądałem pożądliwem okiem; wyrzucałem też memu koledze, że nie umiał jej szanować. Tylem mu nagadał, że o mało się nie rozpłakał. Pocieszył nas w tem nieszczęściu jeden z jadących, powiedziawszy, że w obozie są rusznikarze to ją naprawią. Dla tego zaś tak nam chodziło o tę strzelbę, bośmy sobie wyobrażali, że przychodzących do powstania bez broni nie przyjmują, zwłaszcza tak młodych jak my, gdy zaś choć jeden z nas będzie miał dubeltówkę a drugi ładownicę pełną amunicyi, to przecież już będziemy jakąś wartość przedstawiać dla powstańców. Furgony z nami powoli się wlokły, po trzech lub czterech dopiero godzinach dojechaliśmy do czat obozowych, gdzie zostaliśmy powitani głośnym okrzykiem: stój! Kto idzie? przyczem usłyszeliśmy dwa trzaśnięcia odwodzonych kurków i choć w ciemności, ujrzeliśmy do nas wymierzone dwie lufy.

Zelektryzowani byliśmy tym niespodziewanym wykrzyknikiem; siedzący na furgonach odpowiedzieli, że swoi jadą do obozu. Wtenczas zapytani zostaliśmy o hasło, a że go nie znaliśmy, byliśmy prowadzeni z wymierzonemi ku nam lufami do placówki odległej o kilkanaście kroków, gdzie się znajdowało ze trzydziestu powstańców z oficerem

na czele. Tam wylegitymowaliśmy się, że jesteśmy ochotnikami z Krakowa, chcącymi wstąpić do oddziału, tamci zaś powiedzieli, że wiozą prowianty.

Zostaliśmy wprowadzeni do środka obozu; gdyśmy zeszli z furgonów może była pierwsza godzina. Obejrzeliśmy się naokoło, chcąc się rozpatrzeć w ciemnościach. Obóz ze swemi w piramidy poustawiawianemi kosami nieomal tak długiemi jak tyki od chmielu, z dogorywającemi gdzieniegdzie ogniskami, robił na mnie dziwnie fantastyczne wrażenie, a jeszcze gdy raz poraz jakiś patrol, złożony z kilku kosynierów, przesunął się koło nas ze swemi brzęczącemi kosami, zdawało mi się, że widzę duchy dawnych rycerzy.

Gdy nas odprowadzono na odwach i tam zameldowano, zostawiono nas samych sobie. Nie wiedząc co robić, przechadzaliśmy się wolnym krokiem po obozie; jednakowoż zaczęło nam dokuczać zimno nad ranem; postanowiliśmy wejść do pierwszego lepszego namiotu ze słomy, aby się trochę przespać i odpocząć po trudach podróży. Zbliżyliśmy się więc do jednego, w którym u samego dołu do wchodzenia był mały otwór. Ja pierwszy, pełzając na czworakach, zacząłem się do niego wsuwać, za mną też wczołgiwał się Wiktor. Nie widząc nic przed sobą, macałem rękami i potrąciłem jakiegoś śpiącego, który zbudziwszy się zaraz zaczął głośno krzyczeć, co to! kto tu! co wy chcecie! co wy za jedni! a do swojej budy! tu nie dla was miejsce! a może wy tu co porwać przyśliście!?

Jak niepyszni, zawstydzeni takiem przyjęciem, spiesznie cofnęliśmy się z tego niegościnnego kąta. Nie próbowaliśmy też już do innych wchodzić namiotów, bojąc się, aby nas jeszcze co gorszego nie spotkało, tylko siedliśmy na dyszlach od wozów; gdy, jednakowoż, coraz bardziej nam dokuczało zimno, poszliśmy do jednego jeszcze zarzącego się ogniska i tam pokładliśmy się przy ciepłym popiele, a, przykrywszy się wspólnie moim płaszczem, doczekaliśmy świtu, w którym zaczęły nam się wyraźniej rysować kontury obozu.

Ujrzeliśmy mnóstwo większych lub mniejszych szałasów ze słomy, ogromne piramidy kos, porozstawianych po całym obozie, karabiny i dubeltówki w kozłach, wozy, naładowane sianem, słomą, workami, chlebem i innemi rzeczami, przy każdym warta z kosyniera, przechadzającego się wolnym krokiem. Za wozami stała gromada bydła, przeznaczona na rzeź, widocznie przeczuwająca bliską śmierć, bo raz po raz odzywała się przeraźliwym rykiem. Z innej strony dolatywały nas rżenia koni i okrzyki stojących wart.

Gdy się rozwidniło, zaczął się wielki ruch i hałas. Pełniący nocną służbę chodzili od namiotu do namiotu i głośnem wołaniem „wstawać“ budzili śpiących. Odezwały się bębny i trąbki z ranną pobudką, ale widocznie dobosze i trębacze poprzednio służyli w rozmaitych armiach, bo każdy inną wygłaszał melodyą. Komendanci oddziałów wołali: do broni! formuj się! baczność! równaj się! Zaczęły się ranne ćwiczenia kompaniami i rozmaite ewolucye;

ze wszystkich stron było słychać komendy. Ogniska buchnęły wielkiemi dymami, kucharze gotowali śniadanie. Ja i Wiktor, widząc taki ruch i to życie obozowe, zapomnieliśmy o chłodzie, głodzie i nocy niespanej. Chodziliśmy to tu, to tam, aby się wszystkiemu przypatrzeć po kolei.

Tu stali strzelcy, tam kosynierzy, gdzieindziej żuawi; zdala było widać szwadrony jazdy z wesoło powiewającemi amarantowo białemi chorągiewkami, umundurowanych po większej części w białe krakowskie sukienne kapoty z czerwonemi wyłogami i czerwone krakuski. Była wielka rozmaitość w ubraniach. Strzelcy w czamarkach, guńkach, żółtych kożuszkach, burkach, w kołpakach lub rogatywkach na głowie, i po większej części w długich butach. Trafiali się i tacy co byli w miejskich paletotach i kamaszkach na nogach. Byli to popisowi z Warszawy lub innych miast, którzy, przed branką wojskową, ledwo zdążyli uciec tak, jak byli ubrani w mieście.

Żuawy nosili tureckie fezy, oficerowie ich białe sukienne krzyże wyszyte na czarnych kamizelkach.

Broń w strzelcach była bardzo rozmaita, jedni mieli nowe rosyjskie karabiny, zdobyte w poprzednich bitwach, inni karabiny niegwintowane po weteranach, dubeltówki i pojedynki rozmaitych kalibrów ze świeżo dorobionymi bagnetami lub bez bagnetów. Niektórzy prócz strzelb mieli jeszcze za pasem pistolety lub rewolwery, a inni znowu nosili krótkie podoficerskie pałasze. Ładunki nosili w myśliwskich torbach, w ładownicach u pasa lub

przewieszonych przez ramię, byli i tacy, co, niemając ani torb, ani ładownic, musieli je nosić w kieszeniach.

Żuawy wszyscy byli uzbrojeni jednolicie w nowe austryackie karabiny z bagnetami. Nosili ładownice z przodu. W całej piechocie zaś mało kto miał tornister. Po większej części noszono rzeczy w bocznych torbach lub w zawiniątkach na plecach.

Kosynierzy stanowili największą rozmaitość, byli między nimi po krakowsku, opoczyńsku, miechowsku lub z waszecia ubrani.

Wielu z nich było tak obdartych, że aż litość brała patrzeć na nich. Robili oni najwięcej hałasu i wrzawy swemi kosami, trącając jednę o drugą, przy zwrotach głośno brząkali. Animusz jednakowoż u nich był dobry, miny buńczuczne, nic sobie nie robili ze swego lichego ubrania. Dużo z nich miało pozawieszane na paskach garnki z jedzeniem. Uchodzili w obozie za wielkich żarłoków; byli to ludzie po większej części prości, parobcy lub rzemieślnicy. Podoficerowie prócz kos mieli pistolety za pasem. Kosy były trojakie. Jedne zwykłe od koszenia, drugie przerobione z ręcznych sieczkarń, a trzecie umyślnie robione do powstania. Te były obosieczne i proste, miały kształt dużego czerkieskiego kindżału. Drążki do kos mieli z lekkiego drzewa, od góry okute wzdłuż czterema drutami, aby pałaszem nie mógł ich przeciąć kawalerzysta. Przy obsadzie drążka mieli niektórzy haki, aby módz w potrzebie ściągnąć jeźdzca z konia. Była to straszna broń, żaden piechur z bagnetem, mając wy-

strzelony karabin, nie stawił czoła kosynierowi, mogącemu rąbać i kłuć okropnie swoją ciężką i długą kosą.

Kawalerya miała rozmaite konie; obok bardzo dobrych, można było widzieć i nader liche szkapy; co do wzrostu były niektóre duże, inne znowu nie większe od kozackich. Siodła były przeróżne, kulbaki, terlice kozackie i angielskie. Jedni mieli uzdeczki, drudzy munsztuki. Uzbrojeni byli w szaszki kozackie, pałasze krzywe i proste w pochwach blaszanych lub skórzanych, w lance, pistolety lub rewolwery; inni zaś zamiast lanc mieli karabinki lub dubeltówki, przewieszone przez ramię.

Oficerowie, tak w piechocie jak i w kawaleryi, byli jednakowo uzbrojeni, w pałasze i rewolwery lub pistolety za pasem, z tą tylko różnicą, że oficerowie kawaleryi mieli długie pałasze, a w piechocie rozmaite, były i urzędnicze szpady, a nawet jednego widziałem z floretem u boku bez pochwy, takim, jakiego się używa do fechtunku. Dla odznaki nosili jedwabne kokardy amarantowo białe u czapek i na lewem ramieniu. Wyżsi oficerowie mieli jedwabne szarfy amarantowo białe przewieszone przez prawe ramię, lecz nie zawsze używali tych odznak, wtenczas można było tylko ich rozróżnić, gdy się ich znało osobiście.

Rozpatrzywszy się po obozie, naradziliśmy się z Wiktorem do jakiegoby wstąpić oddziału. Najwięcej nęcili nas żuawi, u których widzieliśmy najlepiej dobraną i uzbrojoną młodzież. Ale że między nimi nie było tak młodych jak my, obawialiśmy

się, że nas może jako za słabych i niedobranych do drugich, nie przyjmą. Postanowiliśmy więc zaciągnąć się do strzelców, i zwróciliśmy nasze kroki tam, gdzie się ich mustrowało kilka kompanii. Stanęliśmy w pobliżu jednego kapitana. Ten, gdy nas zobaczył, zapytał co za jedni jesteśmy.

Odpowiedzieliśmy, że studenci z Krakowa i że chcemy wstąpić do strzelców.

A strzelać umiecie? zapytał.

Odpowiedzieliśmy, że umiemy. Poprosiłem, żeby nam dał karabin, a przekonamy go o tem.

Z uśmiechem przychylił się do naszego życzenia, pokazałem tedy jak się nabija, celuje, kurek odwodzi, i do jakiego użytku służy wizer.

Zdziwił się tą moją znajomością rzeczy, i zapytał, gdzie się tak nauczyłem obchodzić z bronią.

Odpowiedziałem, że od dziecinnych lat umiem strzelać, i z rosyjskimi żołnierzami, którzy u nas stali na kwaterach, strzelałem do tarczy.

Po mnie zaczął egzaminować Wiktora, który go również zadowolił. Wtedy kapitan Lit... zaprowadził nas do swego majora Zygmunta Koskowskiego oznajmując mu, że chcemy wstąpić do jego kompanii.

Ten, zobaczywszy nas, znowu egzaminował, a wreszcie zapytał, czy nie mamy własnej broni.

Opowiedzieliśmy mu nasze nieszczęście z dubeltówką, będącą już w naprawie u obozowego rusznikarza. Wtedy wyniósł ze swego namiotu, bardzo ładną strzelbę, i tę mi ofiarował wraz ze sześćdziesięcioma kalibrowymi ładunkami, między nimi było kilkanaście z lotkami i przyrzekł, że, gdy nadejdą

karabiny, to i my takowe otrzymamy, bo widzi, że umiemy dobrze strzelać. I Wiktor również otrzymał jakąś strzelbę. Ładunki, które ze sobą przyniosłem, kazał mi oddać do wozu, stojącego opodal z amunicyą.

Dubeltówka, którą dostałem, była to ładna dziwerówka z gładką prawą lufą, a lewą gwintowaną na grubego zwierza, miała wizer na trzysta kroków, dający się położyć na lufie, jeżeli nie był potrzebnym.

Major Koskowski był eks-kapitanem rosyjskim, wielkim rygorystą, bardzo surowy dla swych podkomendnych, wysokiego wzrostu, silnie zbudowany i przystojny, mógł mieć około czterdziestu lat, nosił krótki żółty kożuszek, łosiowe spodnie, długie buty i czarną rogatywkę, u boku pałasz, rewolwer i tęgą dońską nahajkę. Mówił krótko, zwięźle, akcentem rosyjskim, długo przedtem przebywał na Kaukazie. Brat jego młodszy, który wyszedł ze szkoły wojskowej w Cuneo pełnił przy nim służbę adjutanta.

Zostaliśmy więc przyjęci do drugiej kompanii, drugiego batalionu i drugiego pułku pułkownika Jeziorańskiego. Kapitan Lit... wskazał nam sekcyą, objaśniając, kto będzie naszym podoficerem, oficerem i kogo mamy słuchać.

Ponieważ kompania jeszcze nie skończyła swej mustry, zostaliśmy ustawieni w szereg, i wraz z drugimi odbywaliśmy ćwiczenia.

Podczas odpoczynku i śniadania zapytał nas kapitan, jak się nazywamy, i skąd jesteśmy, pokazało

się, że zna moich rodziców, których widywał u swej ciotki

Był to młody człowiek, mający około dwudziestu czterech lat, akademik, ze szkoły rolniczej w Marymoncie, miłej powierzchowności, ubrany w białą kapotkę z czerwonemi wyłogami i czerwoną krakuskę.

Obaj z Wiktorem byliśmy bardzo głodni, nikt nam jednakowoż nie powiedział, kto nam da jeść. Widzieliśmy, że koledzy z naszej kompanii zasiadają do śniadania, ale o nas nikt się nie troszczył, nic nam nie dano, sami nie chcieliśmy się upominać.

Po mustrze kazał nam do siebie przyjść major. Zastaliśmy go siedzącego przed namiotem na dywanie, wydawał rozkazy lub słuchał raportów. Gdyśmy zaszli przed niego, stanęliśmy frontem i zaprezentowali nasze dubeltówki, oznajmiając, że według rozkazu przychodzimy po odbytej mustrze. Aż się zaśmiał z radości, na widok naszej żołnierskiej postawy. Kazał nam na bok odłożyć broń i wskazał miejsce na dywanie. Zaczął się wywiadywać o nasze stosunki, po jakimś czasie zapytał, czy nam dali w kompanii śniadanie, a gdy z dość smutnemi minami odpowiedzieliśmy że nic nie jedliśmy od wczorajszego obiadu, skoczył rozgniewany na równe nogi i natychmiast kazał zawołać naszego kapitana. Nie wiedzieliśmy, że to powiedzenie może sprowadzić na niego burzę, żałowaliśmy żeśmy to mówili, bośmy czuli wdzięczność dla niego, że nas przyjął do swej kompanii.

Major tymczasem dał nam po kawałku chleba z mięsem, co wygłodzeni z apetytem właściwym

naszemu wiekowi zjedliśmy w mgnieniu oka. Gdy kapitan nadszedł, tłumaczył się, że chciał nam dać śniadanie, ale że my zaraz po mustrze odeszliśmy od kompanii. Majora to bardzo cieszyło, żeśmy tak ślepo słuchali jego rozkazu, i, nie czekając śniadania, przyszli do niego, pochwalił nas, polecił szczególniejszej opiece kapitana, i przeznaczył nas do chodzenia przy sztandarze, jako podchorążowie; było to odznaczeniem i dowodziło łaski majora. Rozkazał także, byśmy codziennie, po skończonej mustrze, przychodzili do niego na ordynans; tym sposobem uwolnił nas od ciężkiej pikietowej służby.

Gdy kapitan odszedł, zaczął nam wykładać wojskowy regulamin, tłumaczył co należy do żołnierza i jak się powinien zachować. Kazał potem zawołać naszego podoficera, będącego przy nim na służbie, polecił mu aby nas przyłączył do swych ludzi i zaraz postawił jednego dla nauki na warcie przy namiocie, w którym była amunicya i chorągiew pułkowa.

Mnie pierwszego postawiono na dwie godziny z instrukcyą, abym nikogo nie dopuszczał blisko do tego namiotu, a szczególnie żebym oddalał zbliżających się z ogniem lub fajką. Zacząłem się więc przechadzać z dubeltówką na ramieniu. Choć bardzo zmęczony i niewyspany pilnie przestrzegałem by się kręcący nie zbliżali do namiotu. Ciągle musiałem uważać, przestrzegać, napominać a nawet i grozić.

(„Wspomnienia krwawych czasów z r. 1863“— Józef Kościesza Ożegalski — Kraków, 1908.)

POD CIEPLINAMI.

Ludno i gwarno było w lesie cieplińskim, pod Przedczem na Kujawach, kiedyśmy raz z Józefem Stępowskim, 7 lutego 1863 r., o świcie na wozach drabiniastych wjechali wraz z kilkunastu powstańcami. Garstka, około 300 ludzi licząca, posiadająca około 30 strzelb myśliwskich, trochę kos, a reszta z kijami, ćwiczyła się na polance w obrotach wojennych, pod komendą ówczesnego naczelnika oddziału, majora Ulatowskiego. Zastaliśmy tam wczorajszego naszego towarzysza Juliusza Erlickiego, który, jako dawny kadet korpusu leśnego, moskiewskiego, zajmował już stanowisko porucznika instruktora.

Kilkanaście kociołków, zawieszonych na improwizowanych trójnogach, syczało nad ogniem. Warzył się płyn jakiś, który zupę miał reprezentować, a gdzie niegdzie jakiś młodociany kucharz piekł nad ogniem kawałek słoniny, który mu śniadanie miał okrasić.

Tu znowu wozów pełno, z odzieżą, prowiantami, a wyrzucane z nich kosy, wydawały dźwięk, stali właściwy.

Przy kuźni polowej odzywały się uderzenia młotów kowali, prostujących kosy, a siekiery, wycinające młode dębczaki na styliska, hukiem napełniały powietrze.

Dziwna rzecz, że przy takim gwarze i hałasie, żadna wideta nie zatrzymała nas przy wjeździe do lasu, widocznie uważano się tam za zupełnie bezpiecznych, albo też wszyscy znali Andrzeja Bogusza, który nas prowadził. Natomiast pełno wieśniaków młodych i starych z wielką ciekawością przypatrywało się mustrze, kociołkom i kuźni, a niektórzy z ciekawszych nie wahali się nawet wsadzać głowy do lichego szałasu, skleconego z gałęzi, który służył za schronienie dla sztabu.

Nasz przewodnik, Andrzej Bogusz, zaprowadził nas do tego szałasu, gdzie znaleźliśmy komisarza rządu narodowego, Stanisława Frankowskiego, który jako ułomny, dość zabawnie ze swoim wielkim pałaszem wyglądał. Oprócz niego i kilku oficerów, zastaliśmy tam dawnego naszego kolegę z Petersburga, Zygmunta Waryłkiewicza, który, wyemigrowawszy w 1860 r., powrócił do kraju w chwili wybuchu powstania.

Po skończonych ćwiczeniach przedstawiono nas naczelnikowi, który nam, jako nauczycielom gimnazyalnym, zaproponował stopnie oficerskie. Odrzuciliśmy tę propozycyę, i podoficerami nawet nie chcieliśmy zostać, mając pełną świadomość tak odpowie-

działności, jak i naszej nicości w sztuce wojskowej; dubeltówki nawet nasze ustąpiliśmy umiejętniejszym a sami, jako prości kosynierzy, zaciągnęliśmy się pod komendę Juliusza.

Ochotnicy przybywali ciągle, broni zaś zapasowej nie było, tak, że o posiadanie kosy trzeba się było dobijać i do niej torować sobie drogę łapówkami, dawanemi kowalowi. — Nieład był wielki, a ludzi doświadczonych mało; sądząc, iż czasem dłuższa kosa tem skuteczniejsza, oprawialiśmy sobie kosy na cztero lub pięcio-metrowych styliskach z młodych surowych dębczaków, a trudno było je zmienić, gdy się spostrzegło, iż taką kosą ruszać niepodobna.

Po południu wzięliśmy udział w ćwiczeniach, manewrując prostemi kijami, bo kosy nasze nie były gotowe, wieczorem zaś uzbrojony w mój długi a ciężki drąg z kosą na końcu, byłem po raz pierwszy postawiony na pikiecie, gdzieś na skraju lasu. — Z okularów moich, choćby się były nie stłukły, nie mógłbym mieć pociechy, i po raz pierwszy wtedy przekonałem się, że dla dobrego żołnierza wzrok normalny jest nieodzowny.

Ósmego lutego z rana znowu ten sam Andrzej Bogusz przywiózł nam nowego naczelnika oddziału, w osobie Kazimierza Mielęckiego. Młoda, żołnierska postać Mielęckiego, krótka, energiczna mowa, którą wygłosił przed frontem, dodały nam otuchy, iż większy ład i porządek zapanują w naszym obozie. Kapelan, Bernadyn, odprawił nabożeństwo, Mielęcki odbył przegląd na polance, zalecał karność i po-

słuszeństwo, a staremu majorowi Ulatowskiemu pozostawił dowództwo piechoty.

Wozów z żywnością, bronią i amunicyą przybyło sporo, ustawiono jeszcze dwie kuźnie polowe, a przekuwanie i przybijanie kos szybko postępowało, słoniny i chleba nie brakło, a ja, co nigdy przedtem wódki nie piłem, z łatwością nauczyłem się przełykać całą szklaneczkę tego napoju.

Ludzi i koni ciągle przybywało i ku niemałemu zdziwieniu około wieczora zobaczyliśmy sformowaną naszą kawaleryę, blisko 30 koni. Wprawdzie uzbrojenie pozostawiało wiele do życzenia, bo niektórzy mieli zaledwie pałasze, zawieszone na sznurkach, inni lance, z jednym lub dwoma pistoletami, a inni jeszcze same strzelby myśliwskie, przewieszone przez plecy, była to kawalerya, która mogła czuwać nad obozem.

Około ósmej lub dziewiątej wieczorem oddział kawaleryi, sformowawszy się przed szałasem naczelnika, po cichej komendzie, danej dowodzącemu, ruszył z miejsca i gdzieś wymaszerował, a z nim i komisarz pełnomocny i koleżka Warykiewicz.

W kilka godzin potem, drzemiąc pod drzewami, zostaliśmy przebudzeni silnym hałasem, sprawionym przez powracającą kawaleryę, która otaczała kilka wielkich wozów. Na jednym z nich, drabiniastym, siedziało dziesięciu bezbronnych żołdaków moskiewskich. Inne wozy, naładowane były mundurami, bielizną i podobnemi rekwizytami.

Na ten widok wielka radość zapanowała w obozie: wszyscyśmy zapomnieli o spaniu i radzibyśmy się

byli dowiedzieć o tem, co zaszło i w jakich okolicznościach. Na mój pluton wypadła kolej trzymania warty przy jeńcach. Od nich tak, jak i od kawalerzystów, dowiedzieliśmy się, że nasza kawalerya napadła wieczorem na magazyn, czyli tak zwany czekhaus moskiewski w Przedczu, strzeżony przez dziesięciu żołnierzy z jednym podoficerem, że ten ostatni, chcąc się bronić, został ranny strzałem pistoletowym, a dziesięciu żołnierzy się poddało. Stąd to zdobyte łupy w ubraniach, a głównie jedenaście karabinów, zabranych żołnierzom, które stanowiły dumę wyprawy, jako pierwsze karabiny w oddziale Mielęckiego.

Śmiać i płakać się chciało, patrząc na tych carskich niewolników: w przekonaniu, że śmierć ich nie minie, płakali i tarzali się po ziemi, błagając litości, jak również przyrzekając nam wiernie służyć, jeżeli życie będzie im darowane. Jakże się zdziwili, gdy im podano jedzenie i wódkę. Bali się tego tknąć, sądząc że zatrute, i ciągle jęczeli: „batiuszka pamiłuj—pamiłuj batiuszka.“ Ledwie własnym przykładem skłoniliśmy ich do wzięcia pożywienia. — Siedzieli oni całą noc na tym samym wozie, a ręce im po przywiezieniu rozwiązano.

Nazajutrz, 9 lutego o świcie wielka parada, wielkie nabożeństwo, a poczciwy nasz kapelan Bernardyn, wszedłszy na pniak ściętego drzewa, wygłosił gorące kazanie, rozpoczynające się od słów, które do dziś dnia zapamiętałem:

„Po tak świetnem zwycięstwie, jakiem nas wczoraj Najwyższy obdarzyć raczył“ itd.

Tu uśmiech ironiczny przebiegł mimowoli po ustach słuchaczy, a dalej dowiedzieliśmy się, że: „Należy, abyśmy podziękowali Panu Bogu za tę łaskę i abyśmy pozostali tak, jak wczoraj pełnymi odwagi i wiernymi naszej świętej sprawie.“

Łatwośmy w ustach poczciwego Bernardyna na bohaterów wyszli.

Po nabożeństwie powstał szmer w szeregach, rozeszła się bowiem wieść po obozie, iż jeńcy moskiewscy wypuszczeni być mają. Zmysł samoobrony przemógł w szeregach powstańczych nad uczuciem ludzkości. Nie bez słuszności rozumowano pomiędzy żołnierzami, że nietylko wolno ale i obowiązkiem jest narodu ujarzmionego, użyć wszelkich środków, dla pozbycia się ciemięzców, gdzież bowiem są fortece i więzienia dla ubezwładnienia jeńców, którzy puszczeni na wolność, pójdą znowu służyć wrogowi.

Szmer w szeregach wzrastał, a wykrzykniki „śmierć Moskalom — powiesić!“ coraz wyraźniejszemi się stawały. Mielęcki stanął przed szeregami, a, wyciągnąwszy rewolwer, krzyknął głosem stentora: „Milczeć! a kto usta otworzy, temu łeb rozwalę!“

Wszystko ucichło—zakomenderowano „na prawo marsz!“ i pomaszerowaliśmy na polankę do ćwiczeń.

Podczas reszty dnia panował wielki ruch i ożywienie w obozie, kuryerzy ciągle wyjeżdżali i przyjeżdżali, kawalerya w ciągłym była ruchu, a narady w szałasie naczelnika nie ustawały, nasz spowiednik miał coraz więcej penitentów, wieczorem po zjedzeniu kawałka słoniny z chlebem i popiciu wódką,

część żołnierzy przytuliła się do ziemi, przypruszonej śniegiem, a druga część krzątała się około pakowania rekwizytów, układając je na wozy. Na nasz pluton przypadła kolej strzeżenia jeńców moskiewskich.

Znowu też same jęki, żale, lamenty i prośby niewolników carskich, którym się zdawało, iż kosy, które dzierżyliśmy w rękach, były przeznaczone do rozerwania ich nędznych ciał na kawałki.

Ruch w nocy przyjeżdżających i wyjeżdżających z obozu powiększył się jeszcze, a w namiocie naczelnika nikt oka nie zmrużył. — Około trzeciej w nocy zbudzono wszystkich cichaczem i zalecono jaknajwiększy spokój. W milczeniu sformowały się szeregi, nas zapomniano zluzować ze straży, czy też umyślnie nas tam pozostawiono, bo aż około piątej zrana oddział kawaleryi przyszedł nas zastąpić, otoczono Moskali, kazano im ruszyć w pochód, a jęki i narzekania powiększyły się jeszcze, bo jeńcy myśleli, że ich na śmierć prowadzą.

Niestety, wyprowadzono ich za las i puszczono na wolność, a oni za parę godzin oddział moskiewski na nas naprowadzili. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

W godzinę po wyprowadzeniu jeńców, furgony eskortowane przez kilkunastu kawalerzystów, wysłane były w kierunku przeciwnym; wkrótce i piechota, po wysłuchaniu cichej modlitwy Bernadyna i otrzymaniu od niego błogosławieństwa, ruszyła w pochód. Uszykowani byliśmy według regulaminu Mierosławskiego, to jest kompanie ustawiały się w trzy szeregi, z których pierwszy, frontowy, na-

leżał do strzelców, a dwa następne do kosynierów. Kompanii tych było cztery, z których dwie pierwsze tylko posiadały strzelców, razem około 60 strzelb; trzecia składała się z samych kosynierów, a w czwartej dwie trzecie części tylko same drzewca posiadały. Karabiny, zdobyte dnia poprzedniego, dostały się podoficerom. — Wszystkich ludzi w oddziale było około 500, a z tego co najmniej 50 dzieci poniżej lat 15. Wielu było bosych, obdartych, a jednak ochoczo szliśmy w cichości naprzód.

Brzask dnia 10 lutego zaczął oświecać wierzchołki drzew lasu, gdy długim wężem wyszliśmy na drogę polną.

Zrobiliśmy może dwa kilometry, słońce zaczęło oświecać otaczające nas przedmioty, gdy z tyłu nadbiegł w galopie kawalerzysta i Mielęckiemu, jadącemu obok nas konno, zdał jakiś raport.

Zabrzmiała komenda: „stój, na lewo zwrot, marsz!“ —i napowrót wróciliśmy ku lasowi, ustawiono nas pod nim na drożynie tak, że front nasz, to jest strzelcy, znaleźli się w trzecim szeregu. Widocznie poczciwy major Ulatowski zapomniał o potrzebie zmiany frontu, choć kompanię kosynierów ustawił w tyle za nami, a biedaków z kijami wysłał śladem furgonów. Naczelnik Mielęcki z kilkoma kawalerzystami na bok odjechali.

Niedługą chwilę staliśmy, nie wiedząc co mamy robić, gdy jeden, drugi a potem więcej strzałów padło z lasu. Było to wymownym dowodem, że tyralierzy moskiewscy tam byli a wymowniejszym jeszcze była śmierć naszego młodego porucznika

i przyjaciela Erlickiego, który, stojąc przed naszym frontem, padł od pierwszej nieprzyjacielskiej kuli. Zakomenderowano: „strzelcy, naprzód, w tyraliery!“ a szeregi nasze zaraz się zmieszały, gdyż musieliśmy przepuścić, stojących w trzecim szeregu. Nastąpiła krótka wymiana strzałów i nasi tyralierzy, chowając się za drzewami, mierzyli ze swych fuzyjek, do niewidzialnych dla mnie Moskali. Słońce wtedy w całej pełni oświecało horyzont.

Major Ulatowski zakomenderował: „kosynierzy naprzód, hurra!“ i z tym okrzykiem puściliśmy się kupą do lasu. Moskale widocznie się cofali, ostrzeliwając się, bo kule świstały,—a ledwie ubiegliśmy kilka kroków, gdy padł obok mnie przyjaciel mój, Józef Stępowski.

Huragan, jak lawina, porwał mnie z sobą i nie miałem nawet na tyle czasu, aby się zastanowić, że może mój przyjaciel potrzebował pomocy. Biegliśmy jak wicher, przez długi szmat lasu, a tu ani dopaść, ani zobaczyć wroga, którego obecność wskazywały tylko nieregularne strzały.

Pędem i nieforemną kupą wypadliśmy na polankę, ubiegliśmy tak ze sześćdziesiąt kroków, gdy nagle jak grzmot, powitał nas rotowy ogień, wysyłany do nas przez szeregi, które w moich oczach, jak krzaki wyglądały, kilkunastu się zwinęło i padło, innych ogarnęła panika, której nawet groza pałaszy i rewolwerów oficerskich powstrzymać nie mogła. Znaleźliśmy się znowu w lesie, rozpoczęto odwrót, który zamienił się prawie w ucieczkę. Gdyby nie przytomność Mielęckiego, który z kawaleryą w tej

chwili Moskali z boku zaatakował, mogli byli nas wystrzelać co do nogi.

Rezultatem tej utarczki było, iż Mielęcki z oddziałem, do połowy zmniejszonym znalazł się tego dnia w lasach Śleszyńskich. Na polu bitwy pogrzebano nazajutrz 18 powstańców, obdartych i strasznie poranionych, a w okolicznych dworach znalazło się kilkunastu rannych. Ja ocknąłem się nazajutrz we wsi Katarzynie.

Moskale stracili swego dowódcę, kapitana Jankowskiego, Polaka i kilku żołnierzy, zabitych przy ataku kawaleryi.

To się działo 10 lutego pod Cieplinami.

. . . .

Aby oddać cześć padłym męczennikom w walce z wrogami, wzmiankuję, iż oprócz wyżej wymienionych, w kilka tygodni potem Andrzej Bogusz dał życie na szubienicy w Włocławku, Zygmunt Waryłkiewicz po paru miesiącach złapany przez Moskali, został rozstrzelany w Kole, naczelnik Mielęcki po kilkunastu bitwach, przeszyty kulą moskiewską, zmarł w Poznańskiem, a komisarza Rządu Narodowego, Stanisława Frankowskiego po ciężkich mękach, z wszelkich możebnych kalectw pochodzących, pochowaliśmy przed trzema laty we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim.

(„Z lat nadziei i walki“ — Bolesław i Józefa Anc — Brody, 1907.)

O CZACHOWSKIM.

Czachowski, niedostrzeżony przez nieprzyjaciela, szczęśliwie dostał się w Iłżeckie lasy, a trzeba wiedzieć, że lasy od granicy, skąd Czachowski przybył oddalone są o mil kilkanaście, nim nieprzyjaciel spostrzegł i dowiedział się — miał Czachowski czas dać możność odpocząć zmordowanym swym żołnierzom, zorganizować oddział, broń naprawić i okryć prawie nagich swych podkomendnych. Trzeba było widzieć oddział, gdy dostał się w Św. Krzyskie strony. Sam Czachowski obdarty, opalony, usmolony, a żołnierze istne duchy „Dantejskiego piekła“, brudni, w łachmanach, boso, pokaleczeni, z przyschniętą krwią na twarzy.

Długo jednak Czachowski nie dał odpoczywać, bojąc się, aby żołnierz jego nie zniewieściał. To też zaraz zaczął kawaleryą, jaką miał przy swym oddziale, alarmować wroga, spokojnie siedzącego

po miastach, w przekonaniu, że po rozbiciu Langiewicza niema partyj powstańczych.

Teraz dopiero dowiedziano się o Czachowskim i o jego silnym oddziale. Rozpuszczono szpiegów, aby tropili partyę, a że w całem Sandomierskiem i Krakowskiem nie było ani jednego oddziału powstańców, nieprzyjaciel przeto ze wszystkich stron zaczął ściągać siły i prawie pewnem było, że partya się nie utrzyma i zostanie rozbita lub wypędzona za granicę.

Czachowski znał doskonale miejscowość, w której miał parę miesięcy walczyć. To też śmiało powiedzieć można, że ani jednej nie przegrał bitwy. Gdy tylko spostrzegł przeważające siły nieprzyjaciela, wtedy trzymał się, o ile było można lasu, w nocy cicho przychodził do najbliższej wioski z całym oddziałem, brał furmanki i, zanim nieprzyjaciel się przebudził, był już oddalony o kilka a nawet kilkanaście mil od teatru wojny i nieprzyjaciel zwykle zastawał obozowisko z dopalającemi się ogniskami.

Jednocześnie gdy nikt nie spodziewał się powstańców, sądząc, że Czachowski gdzieś daleko — alarmował on spokojnie biwakującego nieprzyjaciela, lub napadał na niewielkie oddziały.

Bił się mężnie, pierwszy tam był zawsze, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, żołnierze, widząc jego męstwo, w ogień by za nim poszli. Bano się go bardzo i przezwano „biczem bożym“.

Zdarzało się często, że oddział tak otoczono przemagającą siłą, iż zdawało się niema ratunku, ale

Czachowski zawsze obozował obok lasu, a nieprzyjaciel, obawiając się, niebardzo nacierał — dzielił wtedy całą partyę na kilkanaście, a czasem na kilkadziesiąt małych oddziałów, każda taka kompania dostawała mężnego oficera, a często i szeregowca z objaśnieniem gdzie mają się zebrać i każdy z dowódcą inną drogą tak zręcznie się wymykał, że prawie nigdy nie zdarzyło się zetknąć z nieprzyjacielem.

W końcu, gdy już bardzo goniono oddział Czachowskiego i żołnierz był zmęczony, wtedy w bezpiecznem miejscu złożyć kazał broń i amunicyę, żołnierzy rozrzucił po okolicy na kwatery, przebierając w chłopskie ubrania; odpoczynki takie robił tygodniowe.

Pierwszą prawie bitwę po powrocie od granicy stoczył pod Grabowem, koło Sienna w Iłżeckiem.

Zawiadomiono pułkownika, że z Radomia ciągną wielkie siły nieprzyjacielskie i trudno będzie się oprzeć. Organizacyę wywiadowczą bowiem miał doskonałą i o wszystkich ruchach wroga natychmiast wiedział.

Także i służba obozowa energicznie i umiejętnie była prowadzona. Widety podwójne i oddalone, pikiety przy obozie, a przytem ciągłe i dalekie rekonesanse, choć kawaleryi miał bardzo mało, tyle ile potrzebował do obsługi obozu. Furgonów prawie żadnych, gdyż te utrudniały w ruchach. Żywność i amunicyę każdy żołnierz miał przy sobie, na dni kilka wydaną. Subordynacyi wojskowej pułkownik bardzo przestrzegał, a wykroczenia śmiercią karał.

Po całodziennej zatem walce pod Grabowem, jak jedna tak i druga strona potrzebowały odpoczynku. Jedna część nieprzyjaciela rozłożyła się obozem niedaleko stanowiska Czachowskiego, mając go na oku, druga poszła do Grabowca.

W obozie Czachowski kazał pozapalać wielkie ognie, a tymczasem cicho, z całym oddziałem opuścił go, wtedy właśnie, kiedy nieprzyjaciel pogrążony był we śnie. Dostał się do jednej z większych wiosek, wziął furmanki i rano był już pod miasteczkiem Końskie, oddalonem od Grabowca o mil trzynaście.

Dowiedziawszy się, że niewielki oddział nieprzyjacielski znajduje się w pobliżu, urządza natychmiast zasadzkę w lesie, na drodze między Niekłaniem a Końskiem.

Niedługo czekano.

Dwie roty piechoty z kozakami, których major Nikiforow prowadził, ukazały się w lesie.

Nasi, ukryci za krzakami w lesie—z jednej strony strzelcy, z drugiej kosynierzy, leżeli na brzuchach, oczekując hasła...

Wtem cały oddział nieprzyjacielski z krzykiem i śpiewem, prowadząc aresztowanych, wszedł w sam środek zasadzki. Na dany znak, strzelcy nasi dali ognia, a kosynierzy z okrzykiem wpadli na karki...

Popłoch i zamieszanie. Nie wielu uratowało się ucieczką, a naczelnik oddziału, major Nikiforow, wzięty został do niewoli. Straty nasze były prawie żadne...

Na miejscu, które przed chwilą było teatrem krwawej walki, zebrał się zaraz sąd wojenny, który skazał Nikiforowa na śmierć. Wyrok w tej chwili został wykonany.

To też od tej chwili Czachowskiego oddział ani dnia jednego nie miał odpoczynku. Ścigano go dzień i noc, walki ciągłe, a powstańcy nie mieli nawet czasu zgotować sobie pożywienia.

Wojska nieprzyjacielskie z Radomia, Kielc, Końskich spotkały Czachowskiego pod Bobrzą, wiosce między Końskiem a Kielcami. Walka dzień cały trwała, w której, straciwszy kilku zabitych i rannych, doczekawszy się nocy, znowu Czachowski znikł, jak kamfora. Dogoniony jednak pod Ratajami około Wąchocka, zmuszony był stoczyć nową walkę — tu stracił kilkunastu zabitych. Szczęśliwie jednak, nie bardzo ścigany, dostał się w lasy Iłżyckie. Nie dano i tu jednak spokoju. Atoli pod skrzydłami i zasłoną Czachowskiego, partye tworzyć i nowe organizować się zaczęły na wszystkie strony.

Jadąc z Iłży wjechaliśmy do lasu, a jechał także ze mną jeden oficer z powstania, Gajewski. Las był długi, kilkuwiorstowy, i, gdy już mieliśmy z niego wyjeżdżać, z za krzaków ukazuje się nieprzyjaciel. Ma się rozumieć natychmiast zatrzymano nas, przejrzano paszporty, zrewidowano tłomoczki.

Dowódcą oddziału był polak major Kochanowski, należał dawniej do organizacyi...

Pomimo, że nie znaleźli nic podejrzanego i zdradzającego, że należymy do powstania — zostaliśmy

aresztowani. Na bryczkę moją wpakowało się zaraz kilkunastu żołnierzy, nas zaś wzięto w środek oddziału. P. Kochanowski i wielu innych oficerów oświadczyli nam, że spodziewają się zasadzki oddziału Czachowskiego, który w tych lasach od dni kilku się znajduje. I, że jeśli to nastąpi, to w takim razie nie ręczą za nasze życie. „Żołnierzy nie powstrzymamy,“ odezwał się p. major,„— za pierwszym strzałem was wykłują.“ Prawda — nie wesoła sytuacya?...

Szliśmy zatem, jak skazani na śmierć, oczekując co chwila strzału, bo wiedziałem, że Czachowski nie żartuje i skorzysta z okoliczności.

Przeszliśmy jednak las spokojnie i zaraz nas uwolniono. Na bryczce wielu bardzo rzeczy nie mogliśmy odnaleźć, ale cóż dziwnego, wszak to czasy wojenne...

Tylko cośmy wyjechali z lasu, gdyśmy naszą kawaleryę, a później i cały oddział Czachowskiego spotkali.

Źle był powiadomiony Czachowski o ruchu nieprzyjaciela i spóźnił się o pół godziny, czego bardzo żałował.

Otoczyli nas oficerowie, przybył i pułkownik, i zaczęli nam opowiadać o wypadkach, które w ciągu dwuch tygodni się spełniły. Opowiadali, że bez wytchnienia co dzień prawie mają utarczki, że strasznie są zmęczeni. Rzeczywiście, patrząc na ogorzałych, prawie czarnych, wynędzniałych, obdartych, a wielu bez butów—mimowoli cały oddział obudzał pewien szacunek.

Czachowski wprawdzie był ostry. Karność wojenną i surową posuwał prawie do przesady — ale

zato był szczerym przyjacielem każdego swego szeregowca. Nigdy nic lepszego nie jadł, tylko to, co wszyscy szeregowcy z kotła i na gołej ziemi razem z nimi, okryty burką, sypiał.

Ubranie nie różniło się niczem od każdego jego żołnierza, a może więcej od swych oficerów był obdarty.

W boju był zawsze pierwszy i odważny. Nic zatem dziwnego, że tak długo się trzymał prawie sam jeden w okolicach Św. Krzyskich i że z walki wychodził prawie zawsze zwycięsko.

W tym to czasie do Opatowa przysłany został major Klewcow. Pierwsza jego wyprawa była na Czachowskiego. Pułkownikowi w tej chwili doniesiono z Opatowa, że silny oddział dragonów i kozaków wyruszył z Klewcowem na niego.

Właśnie byłem w Ostrowcu, a było to w kilka dni po powrocie z Warszawy. Siedziałem u kupca starozakonnego Fefera, który miał handel win na rynku, gdy cały ten oddział przyszedł. Tu u Fefera oficerowie jedli śniadanie, a p. major, z werwą opowiadał różne epizody z życia swego na Kaukazie...

Zostałem jeszcze w Ostrowcu, przybyło jeszcze kilku obywateli z okolicy i radziliśmy co to będzie z Czachowskim i jego oddziałem?...

Czachowski stał obozem w lasach pod Siennem; gdy dowiedział się o wyprawie Klewcowa, postanowił nie czekając sam iść naprzeciwko wroga. W szybkim marszu przybył i stanął pod Ostrowcem, o parę wiorst w lesie, na drodze, idącej do Iłży, na tak zwanych piaskach ukrył Czachowski swą pie-

chotę, sam zaś w kilka koni wyruszył na spotkanie nieprzyjaciela.

Wkrótce nastąpiło spotkanie. Czachowski uczynił odwrót, udając, że ucieka. Dragoni z okrzykiem hurra! rzucili się za uciekającymi, a, widząc niewielki oddziałek, byli pewni zwycięstwa, nie spodziewając się tu partyi Czachowskiego.

Czachowski z kawaleryą dobiegł właśnie do lasu, gdzie ukrytą miał piechotę i jednocześnie ze wszystkich stron wpadający oddział dragonów został otoczony wysuwającą się z lasu piechotą.

Miejscowość nadzwyczaj była sprzyjająca. Polanka niewielka, piasczysta, otoczona ze wszech stron gęstym lasem. Dragoni zsiedli z koni i zaczęli atakować piechotę. Klewcow spostrzegł—ale nie rychło, że wpadł w matnię...

Paniczny strach ogarnął dragonów, gdy spostrzegli swego wodza bohatera, leżącego trupem. Nasi z całą zaciętością rzucili się na dragonów i tylko ci, co dopadli koni, zostali ocaleni, porywając i ciało majora. Wielu bardzo jednak zginęło. Nasi nabrali dużo koni i broni.

Kawalerya Czachowskiego, jak już mówiłem, była nieliczną i daleko ścigać nie mogła uciekających. Odtąd zaczęto wierzyć, że Czachowski jest czarownikiem, że z nim walczyć nie można, bo z czortem trzyma—i śmieszne wskutek tego krążyły anegdoty o Czachowskim... Urządzono wreszcie formalną obławę na oddział Czachowskiego.

Ze wszystkich stron wojska rosyjskie ciągnęły, armaty prowadzono i Czachowski wkrótce miał

mieć stu, przeciwko jednemu. Mimo to trzymał się jeszcze długo.

Ciągła jednak walka i bezustanne gonitwy, tak osłabiły siły naszego żołnierza, że nie było innej rady, jak na czas jakiś zawiesić utarczki, tem bardziej, że i Czachowski osłabł—nic dziwnego, wszak był przeszło 60-cio letnim starcem.

Czachowski, jak już mówiłem, zawsze przebiegły i pomysłowy, kazał rozbroić się całemu oddziałowi, zaufanym swym oficerom polecił zakopać w bezpiecznem miejscu zebraną broń i amunicyę. Żołnierzom zaś, kazał rozejść się po kwaterach, zalecając, aby w najbliższej wiosce się przebrali. Konie kawaleryjskie rozesłał po obywatelach—sam zaś wyjechał zagranicę, aby wypocząć po kilkomiesięcznych trudach.

Po ciągłych utarczkach i rozbiciu większych partyi, zostały małe tylko oddziały i zdawało się, że powstanie upaść musi. Gdy od organizacyi cywilnej wszyscy odsuwać się zaczęli, a upadek ducha prawie był ogólny, naraz piorunujące wiadomości, jak iskra elektryczna wstrząsnęła całym krajem. „Europa się o nas upomina“...

Silne i duże oddziały zaczęły przeprawiać się przez Wisłę z Galicyi.

Dowiadujemy się, że Czachowski, wypocząwszy za granicą z liczną partyą ma wkroczyć do kraju i wzywa dawnych swych żołnierzy pod swą chorągiew.

Czachowski szczęśliwie, niedostrzeżony, przemyka się przez Wisłę — partya jego liczy prze-

szło tysiąc ludzi, umundurowanych i dobrze uzbrojonych.

Nim opiszę walkę, która zaraz na drugi dzień miała miejsce, muszę słów kilka poświęcić Czachowskiemu.

Czachowski nie był żołnierzem z powołania. Wprawdzie w 1831 roku, w ruchawce jeszcze bardzo młody, brał udział, ale nie była to szkoła wojskowa. To też co innego było staczać partyzanckie bójki w lasach, i w miejscowości dobrze mu znanej, a co innego z większą partyą stanąć na odkrytem polu, tak, jak miało miejsce pod Jurkowicami. Zaraz po przerwaniu się przez Wisłę w Sandomierskiem, ujrzeli nasi straż nadgraniczną i kozaków, z którymi stoczono niewielką utarczkę, i poszli spokojnie dalej. Doszli do Jurkowic, wsi położonej niedaleko Klimontowa—tam Czachowski miał zamiar na furmanki zabrać piechotę i jak najprędzej przerzucić cały oddział w lasy Iłżeckie.

Rano na drugi dzień widety i rekonesanse doniosły, że mają ze wszystkich stron silnego wroga. Nieprzyjaciel ze Staszowa, Sandomierza i Opatowa tu się zebrał pod dowództwem pułkownika Gołubiewa. I rzeczywiście zaraz ukazały się pierwsze forpoczty nieprzyjacielskie. Czachowski zrozumiał, że nie tak łatwo przyjdzie mu się załatwić.

Kazał swemu oddziałowi zrejterować między zabudowania folwarczne — to zgubiło — aby pod ich osłoną skuteczniej i bezpieczniej działać. Dzień cały trwał zacięty bój, nieprzyjacielska piechota kilkakrotnie przypuszczała szturm... Ani bohaterstwo

Czachowskiego, ani męstwo i dzielność naszych żołnierzy, wszystko powtarzam napróżno, szyki zostały złamane. Kawalerya nieprzyjacielska wpadła w środek obozu, a za nią i piechota z bagnetami. Trudno było dalej opierać się przemagającej sile wojska regularnego, mającego jeszcze armaty.

Dzień ten dużo ofiar kosztował. Część została wzięta do niewoli. Kilkudziesięciu zginęło, trochę zostało rannych, reszta zdołała przeprawić się zagranicę. Czachowski tylko z kawaleryą i furgonami, z zapasową bronią i amunicyą ocalał od ogólnego zniszczenia i dostał się w głąb kraju.

Na drugi dzień wiedzieliśmy już o katastrofie.

Na trzeci dzień po opisanej dopiero bójce, w nocy, posłaniec od ks. kanonika Dąbrowskiego budzi mnie i wzywa, abym natychmiast przyszedł na probostwo. Biegnę. Jest tam już Henryk Roguski, obywatel z Szwarszowic, i mówi: Czachowski lada chwila przejeżdżać będzie przez Kunów i potrzebuje się z nami widzieć. Pan R. eks-oficer, był organizatorem wojennym województwa Sandomierskiego.

W niespełna godzinę usłyszeliśmy szczekanie psów, a wkrótce na podwórzu tentent koni i brzęk pałaszy.

Wybiegamy z światłem na ganek — przed gankiem stał już cały oddział kawaleryi, składającej się z blizko stu koni z Czachowskim na przedzie. Kanonik zaprasza na plebanię, ale pułkownik odpowiada:

„Nie mam czasu do stracenia, ścigają mnie, wstąpiłem po błogosławieństwo do kanonika i muszę dać wam niektóre zlecenia“.

A obracając się do mnie rzekł:

„Was prosić będę, abyście jechali natychmiast do Klimontowa i na plac boju, zajęli się rannymi i urządzili szpital. A proszę cię na Boga niech tym biednym nieszczęśliwym mym towarzyszom na niczem nie zbywa. Jak wrócisz, to twej, panie Władysławie, roztropności, polecam tymczasowie zachowane w lasku pod Małem Jodłem broń i amunicyę, przewieźć je w lasy Iłżyckie i w pewnem miejscu każ je zakopać. Może mi się przydadzą“.

Ostatni raz miałem go już widzieć. Na dzielnym koniu Czachowski, choć siwy starzec, z wąsem zawiesistym, zagranicą zgolił brodę, czerstwo i młodo wyglądał. Okryty był płaszczem ceratowym, towarzysze jego wszyscy podobnie byli przybrani.

Obrócił się do kanonika i rzekł smutnym a łagodnym głosem: „Błogosław!... Błogosław!... Naszą garstkę... takie są wyroki Boskie!“...

„Sądziłem, że całą partyę błogosławić będziesz stary mój druhu“,—i biednemu starcowi potoczyły się łzy po ogorzałem licu...

Chwila dziwnie była uroczysta i majestatyczna. Noc ciemna bezgwiazdna, cisza dokoła — a tylko świeca bladym blaskiem oświetla ten ponury, a dziwny obraz, zdawało się, że nawet konie przejęły się tym uroczystym momentem, zatrzymały oddech i stały, jak wryte, na miejscu.

Kanonik podniósł rękę z krzyżem w górę i błogosławił.

Ścisnęliśmy raz ostatni dłoń Czachowskiego, żegnając słowami: „Do miłego i prędkiego widzenia!“

Nie przypuszczaliśmy wtedy, że to „do widzenia!“ będzie na innym świecie...

Nie kładłem się spać i z brzaskiem dnia wyjechałem przez Gołaszyce, Modliboczyce i Grocholice do Klimontowa. W drodze bowiem dowiedziałem się, że tam znajdują się ranni. Klimontów jest to licha mieścina, majętność hrabiów Ledóchowskich, odznaczająca się wspaniałym kościołem w stylu — w miniaturze — świątyni Piotra i Pawła w Rzymie.

W obszernym domu murowanym, w którym mieściła się apteka, urządzony został na prędce szpital z kilkunastu rannymi. Dwóch doktorów pielęgnowało chorych — jeden doktór młody, galicyanin, z partyi Czachowskiego, drugi miejscowy i dwóch felczerów. Szpitalem opiekowały się panie z okolicy. Zastałem tam znaną mi panią Karczewską, szlachetną matronę, którą dawniej w innych lepszych warunkach znałem, gdy mieszkali w Opoczyńskiem, w Rożenku. Z synem Henrykiem kolegowałem w szkołach w Piotrkowie.

Rannym na niczem nie zbywało. Sale duże, widne, czysto utrzymane, jak również i bielizna; obsługiwały siostry szarytki, zakonnice z Kurozwęk, a opiekowały się obywatelki z okolicy, obecność zaś p. Karczewskiej była rękojmią dobrej opieki. To też spokojnie mogłem odjechać i uspokoić pułkownika Czachowskiego.

Opuściłem jednak Klimontów, gdyż śpieszyłem się przechować broń, tak nam potrzebną. Na trzeci dzień wróciłem do domu.

Wezwałem naczelnika miasta Kunowa, Kaniowskiego, i zażądałem, aby dał mi kilkanaście koni i wozów i zwinnych, śmiałych, odważnych, a silnych mieszczan. Objaśniłem mu cel wyprawy.

Zaraz w nocy sam z furami pojechałem pod Małe Jodło—wioseczki, położonej o siedem wiorst od Kunowa. Furgony po większej części były popsute i niezdolne do użytku, trzeba było zatem pakunki przełożyć na inne wozy. To opóźniło naszą podróż. Już nad ranem przejechaliśmy przez Kunów. Trzeba się było śpieszyć, żeby nim dzień nastanie być w lesie Iłżeckim. Kilku na koniach mieszczan wyprawiłem na zwiady, sam zaś także konno, uzbrojony, jechałem przed furgonami.

Chciało nieszczęście, że na folwarku w Kunowie złamała się oś u wozu, nie było innej rady, jak wziąć wóz ze dworu. Rządcą był Niemiec. Nie namyślając się, wpadłem do dworu i żądany wóz dostałem. Ale ten podły Niemiec głównie przyczynił się do mego aresztowania, wtedy, gdy powstanie już upadało.

Szczęśliwie przejechaliśmy most, i równo z jutrzenką byliśmy w lesie. Lasem trzeba było parę mil jechać, byłem jednak ostrożny i kazałem zachować się całemu taborowi cicho, o ile to było możebne. Zachowałem wszelką wojskową ostrożność. Wysłałem awangardę i arjergardę z mieszczan, wysłałem także kilku konnych rekonesansów naprzód. Sam zaś pilnowałem taboru.

Trzeba było przejeżdżać gościniec, łączący Ostrowiec z Iłżą, a tu zawsze prawie można się było natknąć na nieprzyjaciela.

Niedaleko karczmy, tak zwanej na Piaskach, zatrzymać się kazałem, a sam z jednym mieszczaninem podjechałem pod karczmę. Słuchamy...

Tam ruch i zgiełk. Był to oddział nieprzyjacielski, tu spoczywający. Wróciliśmy natychmiast. Kazałem koniom na łby pozakładać worki, w obawie żeby nas nie odkryły, parskaniem i rżeniem. Z ludźmi zaś usunąłem się w głąb lasu.

Czekaliśmy tak godzinę lub więcej, zatrzymując oddech w piersiach, wsłuchując się w najmniejsze poruszenie. Nie szło mi już o moje bezpieczeństwo, ale chciałem nie zawieść zaufania i wiary Czachowskiego w mą przezorność.

Wysłałem znów na zwiady sprytnego i energicznego mieszczanina — powrócił zaraz z dobrą miną i z niej domyśliłem się, że nieprzyjaciela już niema. Tak było w istocie.

Poczekawszy jeszcze z godzinę, puściliśmy się w dalszą drogę i już bez żadnych przygód dostaliśmy się na wskazane miejsce.

Tam oczekiwał nas podleśny M.... z zaufanymi kilku gajowymi; przenieśliśmy wszystkie rekwizyta wojenne; złożyliśmy w przygotowane doły — i zakopali.

Później część tej broni zabrał oddział powstańczy, który już od kilku tygodni formował się w lasach Iłżeckich pod dowództwem Liwocza, oficera z austryackiego wojska.

Czachowski kilka tygodni ścigany był przez nieprzyjaciela, przeszedł na czas pewien w Lubelskie, ale z kawaleryą nie umiał dać sobie „rady". Znu-

dzony i nie mogąc zapomnieć straty, jaką poniósł pod Jurkowicami, sam śmierci szukał. Powrócił z Lubelskiego i przybył z oddziałem do swego majątku Wierzchowiska, położonego około Sienna w Iłżeckiem.

Tam mieszkała jego córka. Nie zdążył jeszcze nacieszyć się widokiem ukochanych, gdy wtem dają znać, że nieprzyjaciel ciągnie.

Pożegnał córkę, mówiąc, że to już ostatnie pożegnanie... Pobłogosławił ją — wsiadł na koń i zakomenderował „marsz". Na polach tuż za wsią, dopędzono go i cały oddział poszedł w rozsypkę. Przy Czachowskim został tylko adjutant i jego kilku oficerów.

Od pierwszego strzału ubito konia pod Czachowskim: oficerowie podali mu innego, ale Czachowski nie przyjął, mówiąc: „Już czas na mnie bracia, jam stary — wy młodzi, uciekajcie!..."

Niebawem Czachowski padł z roztrzaskaną głową. Działo się to 25 listopada 1863 r.

(„Pamiętniki Wład. Zapałowskiego (Płomienia) z r. 1863—1870" — Wilno, 1913.)

O CHMIELEŃSKIM I BOSAKU.

Gdy oddział Czachowskiego został rozpuszczony, w tym prawie samym czasie Chmieleński, ścigany ciągle w Krakowskiem, nie mógł dłużej utrzymać się z piechotą, rozpuścił ją, a sam zorganizował dzielną kawaleryę i z tą przerzucał się z jednej w drugą okolicę. Długo bardzo prawie sam, z oddziałem kawaleryi, podtrzymywał powstanie w Krakowskiem.

Na kilka dni przed rozbiciem Czachowskiego pod Jurkowicami, zjawia się Chmieleński w Sandomierskiem i z kawaleryą, liczącą przeszło dwieście koni, przyjeżdża do Kunowa. Tym manewrem chciał odciągnąć nieprzyjaciela od granicy i ułatwić przeprawę naszym partyom, przeprawiającym się przez Wisłę, z Galicyi. Manewr się jednak nie udał. W tym właśnie czasie w Św. Krzyskiej okolicy nie było wojsk nieprzyjacielskich i oddziały powstańcze śmiało się organizowały.

Chmieleński przybył do Kunowa i przez tydzień stał kwaterą z całym oddziałem.

Niewtajemniczonym dziwnem to było — gdyż dotąd jeszcze żadna partya nie odważyła się zatrzymywać dłużej nad kilka godzin w którem kolwiek mieście.

Gdy tylko oddział przybył do Kunowa, zaraz poznałem się z Chmieleńskim i jego sztabem. W sztabie spotkałem dobrze mi znajomego, dziś już pułkownika Bogdanowa, od którego dowiaduje się, że od kilku tygodni walczy razem z Chmieleńskim.

Chmieleński małego wzrostu, lat średnich, a można nawet powiedzieć młody, z maleńkim blond wąsem, na oko niewiele wzbudzał grozy; ale gdy oko jego szafirowe zaiskrzyło się, gdy głosem ostrym i donośnym, czystym, a dźwięcznym, zaczął przemawiać do otaczających—poznałeś zaraz siłę, energię i przeczułeś niezłomność jego charakteru i męstwo. A cóż dopiero gdy dosiadł konia i na czele swej drużyny, dawał rozkazy i komendę. Każde jego słowo, wyrzucone było nie na wiatr, a żołnierz w szeregu nie śmiał okiem mrugnąć, bo za najmniejsze nieposłuszeństwo śmiercią był karany.

To też żaden oddział nie był tak porządnie umundurowany i uzbrojony — żaden nie był tak dzielnie wymusztrowany jak jego. Pomimo jednak całej srogości, podkomendni kochali go i w ogień byli iść za nim gotowi.

Ubranie nadzwyczaj nosił skromne — pomimo, że wielkim był elegantem, a w puzderku podróżnem

obok ładunków była zawsze butelka wody pachnącej, grzebienie, szczoteczki i cały przybór toaletowy. Nosił zawsze surdut długi, pod szyję zapięty, szaraczkowy, bez żadnych ozdób, zimą podbity futrem, opasywał go pasem złotym od szabli kawaleryjskiej, przy tem palone buty z ostrogami i czapkę barankową.

W poufnej pogawędce nadzwyczaj był sympatycznym, choć nie zawsze i nie z każdym skory był do rozmowy. Po większej części otoczony był swym sztabem i bardzo zaufanymi. Ciągle zajęty był planami i mapą, przy której noce całe trawił, chcąc obeznać się z okolicą i miejscowością.

Szlachty, a zwłaszcza spanoszonej arystokracyi, której u nas bez liku się namnożyło, nie cierpiał i bardzo z nią ostro się obchodził — a gdy dowiedział się jeszcze, że który z nich nie sympatyzuje z powstaniem, lub usuwa się od działania w organizacyi narodowej — biada mu było!...

Oddział jego cały bardzo pokaźnie wyglądał, a prawdę mówiąc, z dzielnych żołnierzy był złożony. Każdy szeregowiec ubrany był w białą sukmankę, krótką po kolana, a szamerowaną szafirowemi i pąsowemi sznurkami, tak, jak widzimy na portrecie Kościuszki. Buty długie palone z ostrogami. Konfederatka biała lub innego koloru, gdyż po czapkach odróżniały się sekcye, oddział składający. Burka długa szara, w czasie zimna lub słoty zastępowała płaszcz.

Każdy żołnierz oprócz pałasza zwykłego kawaleryjskiego, którym wybornie umiał się fechtować,

miał przez plecy przewieszony sztucer lekki, belgijski—pistolety lub rewolwery w olstrach—jedne ładunki wszyte w sukmankę na piersiach, podobnie jak noszą czerkiesi i ładownica z zapasowemi ładunkami, dopełniała uzbrojenia.

Na trzeci dzień przybyła także kawalerya Rudowskiego, ale Chmieleński wyprawił ją natychmiast, żeby w różnych stronach niepokoić wroga.

Na poufnej pogawędce, w której tylko Bogdanow brał udział, opowiadał mi pułkownik, że wkrótce stan rzeczy się zmieni. Że zaprowadzona zostanie zupełnie inna organizacya tak cywilna, jak i wojskowa. Że powstanie przybierze daleko szersze rozmiary. Dotąd każdy oddział działał na swą rękę, bez żadnych instrukcyi i planów, odtąd zaś wszystkie partye dostaną głównego naczelnika, który nad dowódcami obejmie zwierzchnictwo. Że właśnie w tych dniach spodziewa się silnego oddziału powstańców z Galicyi, który przyprowadzi naczelnik wojenny siły zbrojnej, b. województwa krakowsko-sandomierskiego, że od niego ma polecenie oczekiwać go w Kunowie. W końcu prosił mnie, abym nie komunikował nikomu tej wiadomości, „mówię to do pana poufnie, dlatego, że muszę posłać kogoś zaufanego w Krakowskie, aby się dowiedzieć o ruchach nieprzyjaciela i czy nasza partya nie przeszła jeszcze Wisły“.

Pojechałem natychmiast do Kielc.

Tu dowiedziałem się, że od dni kilku generał Czengiery z dużym oddziałem piechoty i armatami udał się ku granicy. Dotarłem pod Miechów,

o powstańcach słychać nic nie było. Przyjechałem po Powiślu ku Sandomierzowi. Wszędzie jedno i to samo.

Granica literalnie obstawiona była nieprzyjacielskiem wojskiem.

W parę dni wróciłem do Kunowa.

Chmieleński wiadomościami, które przywiozłem bardzo się zaniepokoił. Chciał natychmiast udać się na spotkanie oddziału, ale nie wiedział jaką obiorą drogę; a miał wyraźny rozkaz oczekiwać go w Kunowie. Ten rozkaz wstrzymywał go od powziętego zamiaru.

Tymczasem porozsyłał kuryerów na wszystkie strony. Dzień za dniem schodził, wiadomości żadnych.

Naraz w tydzień po przybyciu do Kunowa Chmieleńskiego, koło południa, gdy ten zniecierpliwiony tak długim odpoczynkiem i wyczekiwaniem, postanowił bądź co bądź opuścić Kunów, wpada naczelnik miasta, Kaniowski, z wiadomością, że słychać strzały armatnie. Wybiegamy na pola i rzeczywiście słyszymy głuchy jęk podziemny, jak uderzenie piorunów, gdzieś bardzo daleko, ale trudno rozpoznać w której stronie. Chmieleński rozsyła rekonesanse i nowych kuryerów. Strzałów już nie słychać, ale i wiadomości żadnych.

Przed samym wieczorem przybywa kuryer, a za nim jeden z oddziałów, wysłany na zwiady, z wiadomością, że bójka była pod Bodzentynem, ale z którym oddziałem i jaki jej rezultat dowiedzieć się nie mogli. Chmieleński się niecierpliwi i gniewa, że nie zasięgnęli pewnej wiadomości.

Za chwilę wpada wideta i komunikuje, że oddział prawdopodobnie nieprzyjacielski się zbliża od Brodów, położonych o dziewięć wiorst od Kunowa. W obozie alarm, rozkaz na koń!

Nim jednak oddział zdążył się sformować, przybywa nowy kuryer i uspokaja zaalarmowanych. Zawiadamia bowiem, że to nasza kawalerya, która przyszła z Galicyi i dziś właśnie miała bójkę.

Było późno w nocy, ale całe miasto i oddział na nogach, bo Chmieleński domyślił się i oświadczył wszystkim, że to pewno przybywa nasz główny generał i naczelnik wojenny. Wkrótce po kuryerze ukazuje się kawalerya, na pysznych koniach, w mundurach ułańskich, a na czele na ślicznym koniu także w ułański mundur przybrany, młody człowiek, z sympatycznem, ale smutnem obliczem, łatwo było w nim poznać dowódcę. Oddział cały kurzem i dymem pokryty, wielu z rękami na temblakach i głowami, poprzewiązywanemi szmatami, widać że dopiero co wyszli ze strasznego ognia.

Dowódcą tym był właśnie generał Bosak (Hauke), który przed paru dniami z silnie uzbrojonym oddziałem piechoty i kawaleryi, przeprawił się przez Wisłę, a, gnany przez przeważające siły jak mógł uchodził—aż nareszcie, dostawszy się w głąb kraju, pod wioskę Jeziorko, położoną między górami Św. Krzyskiemi a Bodzentynem, zmuszony był przyjąć walkę.

Walka trwała niedługo, ale swą zaciętością przechodziła wszelkie dotąd stoczone boje. Kawalerya kilkakrotnie przypuszczała szarżę na armaty i ro-

syjską piechotę, długo osłaniając cały oddział piechoty rejterujący.

Wtem zjawia się wtedy już generał Czengiery, gonił on od samej granicy, i, mając kilka armat, gradem kul zasypał nasz oddział. Pozycya była fatalna, zwłaszcza dla partyzantów żadnego oparcia. Lasy Iłżeckie, parę mil oddalone od Jeziorka, a od Św. Krzyskich lasów oddzielał silny zwarty mur nieprzyjaciela. Generał Bosak, widząc otoczoną swą piechotę, sam na czele kawaleryi kilkakrotnie rzuca się na armaty, bo te największe robiły spustoszenia w naszych szeregach.

Wszystko jednak napróżno!

Zarzuceni pociskami, jeszcze parę wiorst przez pole do Grabkowa rejterują powstańcy — lecz siła złego na jednego — cały oddział dokoła otoczony. Walka zaciekła, w której jedni giną, drugich biorą do niewoli. Jeden tylko Bosak z resztkami pokaleczonej kawaleryi uchodzi, pałaszem torując sobie drogę. Długo ścigany dobiega nareszcie do Iłżeckich lasów.

Generał Bosak, cały jego oddział strasznie był zmęczony i potrzebował odpoczynku.

Generał Czengiery nabrawszy wielu jeńców, broni, furgonów z bronią i amunicyą, wrócił do Kielc. Był to jeden z rosyjskich dowódców, który od samego początku ciągle toczył walki z powstańcami...

Całą noc spędziliśmy na pogawędce, oczekując przebudzenia się generała Bosaka; po wypoczynku, opowiadał nam kilkudniowe swe lawirowanie w środku wroga. Mało jednak był rozmowny i przygnę-

biony nieszczęśliwie zakończoną walką. Robił nam nadzieje pomocy zagranicznych mocarstw.

„Zadaniem dzisiaj naszem, mówił, jest jak można najdłużej przeciągać i podtrzymywać powstanie w kraju, a interwencya zbrojna sama przez się przyjść musi“. Łudził się, tak jak my wszyscy dawno już bardzo się łudzili, i to nas do większego upadku doprowadziło...

Oświadczył nam generał, że jest nominowanym przez Rząd Narodowy na wojennego naczelnika w byłych województwach krakowsko-sandomierskiem, prosił mnie przytem, gdy przedstawił Chmieleński z Bogdanowem, że jako znający dobrze miejscowość, wtajemniczony z organizacyą i dowódcami oddziałów objaśnię go szczegółowo, o ich działaniu i czynnościach.

Swoją drogą rozesłał wezwania przez kuryerów, aby wszyscy dowódcy natychmiast przybyli po instrukcyę.

Powiedział nam także, że organizacya cywilna ulegnie zmianie, że jednocześnie z nim przyjechał komisarz cywilny na dwa województwa. A gdy usłyszał wymówione moje nazwisko, wziął mnie na stronę:

„Dobrze“, rzekł, „żem was tu spotkał. Mam właśnie zlecenie od komisarza, serdecznego mego przyjaciela, a także dobrze i wam znajomego, który żąda, abyście bez straty czasu jechali do niego, zastaniecie go w Czażowie.

„Wiele mi wspominał o panu, jako o człowieku, który nam może być bardzo użytecznym. Pragnie

komisarz mieć was swym pomocnikiem. Komisarzem jest kanonik Kotkowski, który na złość Wielopolskiemu, przybrał pseudonim margrabiego Myszkowskiego.

„Ja—mówił dalej Bosak—zaraz rano z całym oddziałem wychodzę z Kunowa, dam wam znać o sobie. Jedź pan, kłaniaj się komisarzowi, powiedz mu o nieszczęściu, jakie mnie spotkało, ale powiedz mu i to, że nie upadam na duchu i w Bogu mam nadzieję, że straty powetuję!"

Wiadomość, że ks. kanonik Kotkowski naznaczony komisarzem bardzo mnie ucieszyła, znając go, pewny byłem, że ład i porządek zaprowadzi.

Ks. Kotkowski po ucieczce Langiewicza, schorowany wyjechał do Galicyi i teraz razem z generałem Bosakiem wrócił do kraju.

Dnieć zaczęło, my jeszcze kończyliśmy rozmowę. Cały obóz zaczął się budzić i do drogi sposobić. Obóz rozłożony był na błoniu pod samem miastem, a sztab zajmował, tuż leżący dwór kunowski. Widok był rozrzewniający, patrząc jak kobiety i dzieci z miasta obarczone garnkami, miskami i tobołkami, ciągnęły jedna przez drugą, nakarmić żołnierzy.

Dzień był prześliczny, jesienny z małym przymrozkiem; kanonik, Jan Dąbrowski, po rannem nabożeństwie, przeżegnał, pokropił św. wodą i pobłogosławił sformowany już do drogi oddział.

Cała kawalerya szóstkami blizko z czterysta koni złożona z generałem Bosakiem, Chmieleńskim, adjutantami i sztabowemi oficerami na czele, wolno ze śpiewem przeciągała przez środek miasta.

Partya przeszła przez Chocimów, Waśniów, udając się w Św. Krzyskie lasy. Ja także wyjechałem, ale inną drogą, a w parę godzin ściskałem już dłoń zacną, szanownego ks. kanonika Kotkowskiego. Zmienił się do niepoznania, przebrany po cywilnemu, zapuścił wąsy, chcąc nie dać się poznać.

Nie umiałbym dziś powtórzyć tego o czem żeśmy rozmawiali.

Nie widząc się tak dawno, a w tak ważnych chwilach dziejowych naszego kraju, nagromadziła się taka moc materyału do pogadanki, że długo jeden drugiemu przerywał w rozmowie, rzucając coraz to nowe pytania, tembardziej, że ks. Kotkowski świeżo przyjechał z zagranicy. Byłem zatem ciekawy, a wiedziałem, że otwarcie i szczerze wszystko opowie. On zaś wypytywał się jak stoi w kraju powstanie, jaki duch w narodzie. Z tej całej rozmowy taki powstał chaos, że długo nie mogliśmy dobrać się do wątku myśli.

Komisarza Kotkowskiego, jak mówił mi Bosak, zastałem w Czażowie, wioseczce, położonej pod miasteczkiem Waśniowem, u dzierżawcy rządowego p. Dobka, gdzie później najwięcej i najdłużej przesiadywaliśmy.

Komisarz po długiej rozmowie, wręcz mi oświadczył, że ponieważ sam nie może się narażać i nie dałby rady tak różnorodnym zajęciom, muszę zatem przyjąć urząd jego pomocnika.

„Znasz stosunki i dawną organizacyę, będziesz mi bardzo użytecznym. Przedewszystkiem — mówił dalej — trzeba nam uregulować poczty narodowe

i policyę. Proszę zajmij się zaraz i wskaż zaufanych ludzi, którym by można powierzyć tak ważną misyę.“

Dotąd korespondencye, tak do organizacyi, jak i do Rządu Narodowego, przesyłane były kuryerami—niedogodność była wielka, bo łatwo mógł dostać się taki kuryer w ręce nieprzyjaciela, zwłaszcza, gdy udał się w nieznaną okolicę. Korespondencye nie prędko dochodziły na miejsce swego przeznaczenia. Nowootworzone stacye pocztowe, zupełnie usuwały tę niedogodność.

Stacya od stacyi oddaloną była dwie mile, a nawet i bliżej.

Naczelnik zatem stacyi pocztowej wiedział o każdym ruchu wroga, a nawet wśród niego łatwo mu było przewieźć pocztę narodową.

„Trzeba—mówił znowu komisarz—zanominować nowych naczelników powiatu, stworzyć urząd głównego kasyera w każdym powiecie.“

Dotąd także kasa była w rękach naczelnika powiatu, który sam wydatkował pieniądze, bez żadnej prawie kontroli; łatwa była malwersacya, jeżeli trafiło się na człowieka z złym charakterem—stworzenie kasyera zapobiegało nadal nadużyciom—bo kasyer kontrolowany był przez komisarza, naczelnika powiatu, a wydawał pieniądze tylko za piśmiennem upoważnieniem, podpisanem przez generała Bosaka i komisarza. A na kasyerów wybrało się ludzi prawych i używających dobrej opinii.

Mówił mi i upewniał, że za granicą myślą o nas, że w Galicyi tworzą się ciągle partye, że broni

i amunicyi mają poddostatkiem. O Bosaku nie miał słów na pochwały.

Od niego dowiedziałem się, że Bosak nazywa się właściwie Hauke i pochodzi z głośnej w roku 1831 rodziny.

Że Bosak w stopniu pułkownika, czy nawet generała służył w rosyjskiem wojsku. Że to człowiek z wysoką inteligencyą, zacny i prawy, a ojczyznę nad wszystko ukochał. Jedyną zaś jego wadą jest: że za miękki i delikatny, wskutek swego wychowania.

Dla kontrastu Rząd Narodowy dodał mu pułkownika Chmieleńskiego, jako pomocnika, znanego z niezłomnej energii i strasznej gwałtowności.

Generał Hauke na wieść o powstaniu w Polsce, rzucił dostojeństwa, młodziutką żonę, z którą niedawno się ożenił, majątek, zaszczyty i łaski... Przyjechał wprost do Krakowa, oddając się na usługi kraju i w rozporządzenie Rządowi Narodowemu.

Rodzina wszelkiemi starała się środkami odciągnąć go od hazardowego kroku. Intrygowała, aby nie dopuścić do wystąpienia w szeregach powstańczych, a nawet, kiedy był już w kraju i stał na czele powstania, i wtedy jeszcze niepokoiła go, naco już ja sam patrzałem własnemi oczami.

Noc cała zeszła nam na rozmowie, rano odwiozłem komisarza do Małego Jodła, sam wróciłem do domu, i zaraz wyjechałem dla spełnienia powierzonej misyi.

W przeciągu kilku dni uregulowałem stacye pocztowe, naznaczyłem naczelników pocztowych, i, na gotowych blankietach, które wziąłem od komisarza.

wpisałem nazwiska i zatwierdzonym wręczyłem nominacyę. W drodze spotkałem organizatora policyi, który przyjechał z Krakowa i, niezastawszy mnie w domu, pojechał za mną.

Był to izraelita, b. uczeń szkoły głównej warszawskiej, nazwiska nie pamiętam. Obznajmiłem go z miejscowością i organizacyą, pomogłem uregulować policyę w Sandomierskiem i Opatowskiem i wyprawiłem w Opoczyńskie.

Powróciłem do komisarza, zdałem raport z czynności i listę osób, postawionych na sterze poczt i policyi. Pomogłem odpisać odezwy do Rządu Narodowego i naczelników powiatu, zabrałem papiery i rozporządzenia od generała Bosaka do oddziałów, które na najbliższej stacyi w Kunowie miałem oddać. Wyjechałem z Małego Jodła, gdzie komisarz tymczasową miał kwaterę.

Miasteczka niektóre, gdzie znajdowały się większe magazyny żydowskie, dostarczały do obozów umundurowania. Głównym jednak punktem dostawy było miasteczko Ostrowiec.

Dotąd kupowali od żydów, albo sami dowódcy oddziałów, albo też jeden z członków organizacyi; odtąd naznaczony został główny dostawca dla wszystkich oddziałów na województwa Krakowskie i Sandomierskie. Obawiając się jednak malwersacyi uprosił mnie komisarz i Bosak, abym był zawsze obecny i każdy przedmiot, wyprawiony do obozu, własną ręką znaczył pieczęcią narodową.

Czynność ta była bardzo uciążliwa, mozolna i niebezpieczna. Do obozu odsyłało się na jeden tran-

sport po kilkaset par butów, kożuszków, spodni, sukmanek, czapek i burek.

Transport kożuszków największy był z Rosyi. Zawsze noc całą z naczelnikiem miasta zajęty byłem, gdy wypadło nowy oddział umundurować.

Furmanki z Kunowa lub Ostrowca zabierały odzież, aby dostawić w naznaczone miejsce. Sam także na powyższe rekwizyta wydawać musiałem kwity do kasyera narodowego.

Powstanie tymczasem z każdym dniem się wzmagało. W każdym powiecie formowały się nowe oddziały. Z organizacyą wszyscy łączyć się zaczęli— nawet wielbiciele margrabiego Wielopolskiego i włościanie. Składki zbierano ogromne, a Rząd Narodowy ustanowił tak zwaną „pożyczkę narodową“. Na ten cel wypuszczono papiery w formie listów zastawnych. W każdem województwie i powiecie ustanowieni zostali organizatorowie wojenni z obywateli młodych, którzy służyli kiedyś wojskowo. Obowiązkiem ich było formować, mundurować, uzbrajać i odsyłać na linie bojowe pod rozkazy naczelnika partyi.

Generał Bosak, jak już mówiłem, był głową i naczelnym wodzem wszystkich sił zbrojnych powstańczych w b. województwie sandomiersko-krakowskiem. Sztab składał się z pułkowników Chmieleńskiego i Bogdanowa.

Oni tworzyli plany i dawali rozkazy wszystkim naczelnikom partyi. A od czasu do czasu objeżdżali i lustrowali oddziały. Z ich rozkazu obozy zmieniały stanowiska, lub w danym razie łączyły się

wspólnie dla odparcia silniejszego wroga. Oni zresztą dawali nominacyę, naznaczali naczelników i oficerów młodszych.

Na głównego dostawcę broni i amunicyi także naznaczony był izraelita, człowiek zręczny i odważny: broń po większej części mieliśmy z Belgii, przeprawiano przez Wisłę, gdzie także bardzo często musiałem jeździć dla ułatwienia przewozu jej w głąb kraju.

Było to najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze zadanie. Nie miałem jednak zdarzenia, aby transport, prowadzony za mojem pośrednictwem, wpadł w ręce wroga.

Ruch w naszych stronach był wielki, jakiego nigdy nie było od początku powstania. To też miesiące październik, listopad, grudzień 1863 roku i styczeń i luty 1864 roku można zaliczyć do najświetniejszych epizodów z historyi naszego powstania.

Tylko co załatwiłem rozporządzenia komisarza, wracam do domu, zastaję czekającego na mnie adjutanta generała Bosaka, Awejdę, który żąda, abym jechał razem z nim do obozu. Oddział stał wtedy w Cisowie, w wiosce, położonej w lesistej okolicy za Św. Krzyskiemi górami, niedalego Staszowa i Łagowa. Zajechaliśmy późno w nocy. Mówią mi zaraz znajomi oficerowie, że pod strażą przyprowadzono mego znajomego i sąsiada, obywatela Ksawerego Zalewskiego z Sieradowic, z pod Bodzentyna, który za złe obchodzenie się i nieludzkie z rannymi, a którzy po bójce pod Jezior-

kiem, do niego na folwark byli przewiezieni, ma być ukarany dla przykładu śmiercią.

Chmieleński wyrok ten na Bosaku koniecznie chce wymódz, przyjazd mój jednak i udanie się do generała zmieniło wszystko i Z. uwolniono.

Generał Bosak polecił mi, abym natychmiast jechał w Opoczyńskie i sprawdził, jak działa tak cywilna, jak wojskowa organizacya, która nie daje żadnego znaku życia, niedosyć, że nie sformowali żadnego oddziału, ale jeszcze nie wpłynęła ani jedna składka i niema żadnych raportów.

Przy tem dał mi upoważnienie i list odkryty z władzą nieograniczoną.

Pojechałem.

Nie wróciłem już do domu, ale prosto na Słupią, Bodzentyn, Rudę-Maleniecką, Machory dostałem się do Skurkowic, gdzie mi wskazano, że tam mogę się dowiedzieć o p. Dankowskim, organizatorze wojennym powiatowym.

W Skurkowicach mieszkali wtedy dobrze mi znajomi i koledzy panowie Wiśniewscy. Rano przybył zaraz p. D., któremu oświadczyłem niezadowolenie generała Bosaka, za opieszałe jego czynności, że pułkownik Chmieleński chciał oddać go pod sąd wojenny, ale generał tymczasowie daje napomnienie. Jak się dowiedziałem, to p. organizator—mimo, że był to zacny i sympatyczny człowiek — więcej był zajęty towarzyskiem życiem i kartami, aniżeli organizowaniem oddziału. W końcu dałem mu różne instrukcye i zlecenia, a misya moja była skończoną. Z Dankowskim po paru latach spotkałem

się na wygnaniu i czas pewien wspólne dzieliły nas losy.

Stamtąd pojechałem do naczelnika powiatu, a był nim wtedy Władysław Laskowski, obywatel z Myśliborza, tam miałem większą czynność, musiałem przejrzeć rachunki i sprawdzić wydatki—co zabrało mi wiele czasu.

Wróciłem tym samym traktem, nie zatrzymując się w domu, wprost do komisarza, obóz bowiem z Cisowa gdzieindziej wyruszył.

Jakie miał widoki i plany nieprzyjaciel—nie wiem, dość, że czas dosyć długi, stał na swych dawnych stanowiskach, nie ścigając i nie przeszkadzając organizować się oddziałom powstańczym. Drobne tylko oddziały wysyłano na rekonesanse i z tymi partyzanci miewali od czasu do czasu utarczki lub z oddziałami, konwojującemi poczty lub kasy obozowe.

Dwuch tylko partyzantów z dragonami,—Miedjanow i Assjew, krążyło koło Radomia. Lekka nasza kawalerya, a zwłaszcza pod dowództwem Węgra Szandora, polowała na nich i z różnem powodzeniem odbywała walkę.

Musiało być jednak w naszych stronach spokojnie, kiedy generał Bosak wraz z pułkownikiem Chmieleńskim, bez żadnego prawie zbrojnego otoczenia, jeździli powozem od obozu do obozu, lustrując i musztrując młodego żołnierza. Jednego dnia, wracając od komisarza, zatrzymałem się na mieście w Kunowie, miałem tu oddać papiery naczelnikowi poczty. Wtem wpada odkryty powóz, zaprzężony

w dzielną czwórkę koni, a w nim generał Bosak, Chmieleński, i na koźle adjutant Awejde. Konie w galopie, jak struny wyciągnięte, a siedzący w powozie z rewolwerami w ręku i odwróceni tyłem do koni. Generał mnie spostrzegł i głośno zawołał: „Kozacy nas gonią!“ Tak jednak prędko przelecieli przez miasto, że jeszcze się nie opamiętałem, gdy wpada kilkunastu kozaków na spienionych koniach...

Przyczyna powyższego wypadku była następująca: Generał Bosak i Chmieleński, zostawiwszy swój oddział w Św. Krzyskich lasach, przodem wyprawiali jednego adjutanta, młodziutkiego, lecz zręcznego i mężnego Bromirskiego, z kilku szeregowcami i z końmi wierzchowemi i kazali mu czekać w lasku w tej myśli, że, wracając przez Chocimów—wioska Popielów, powóz porzucą i dalej pojadą konno.

Kozacy goniąc powóz, spostrzegli pod laskiem powstańców i puścili się w pogoń, przytomny i zręczny Bromirski przez pola z końmi ucieka w stronę Małego Jodła, a kozacy za nim. Powóz zaś z generałem miał czas odjechać w Św. Krzyskie góry.

Kozacy spostrzegli pomyłkę widząc zdala uciekający powóz, ale już było po czasie i gonić przestali.

Bromirski zaś z kilku szeregowcami i końmi wpadł w wąwozy i znikł, jakby w ziemię zapadł... Odtąd jednak generał Bosak miał się na ostrożności i nie puszczał się bez silnej eskorty.

Bromirski czas jakiś w krzakach, na górach pod Kunowem zatrzymał się i śledził ruch kozaków,

którzy po bezkutecznej gonitwie powrócili na szosę i pojechali do Opatowa.

Bromirski wkrótce przyjechał do Kunowa, opowiedział mi o całem zdarzeniu i puścił się za swymi naczelnikami. Był on adjutantem Chmieleńskiego od samego początku powstania, młodziutki, jak już wspomniałem, ale tak dzielny i odważny, że mało było starszych, którzy by mu sprostać mogli.

Oddział kawaleryi Antoniego Wielobyckiego, a mego kolegi szkolnego z Piotrkowa, przybył z Opoczyńskiego w lasy Iłżeckie, i jednocześnie odebrałem zawiadomienie od niego, aby bez straty czasu przybyć do obozu.

Pojechałem.

Wielobycki oddał mi rozporządzenie generała Bosaka, z którego dowiedziałem się, że w tych dniach, wszystkie oddziały kawaleryi przybędą do Pokrzywnicy, majątku p. Kiniorskiego, położonego pod miasteczkiem Waśniowem, i żebym razem z komisarzem, kanonikiem Kotkowskim, tam przybył, dla obgadania różnych kwestyi. Oprócz tego generał polecił, aby oddział Wielobyckiego jak można najprędzej umundurować. Wielobycki także oświadczył, że ma polecenie połączyć się z generała kawaleryą w Pokrzywnicy.

Pierwszą zatem moją czynnością, było jechać do Ostrowca. Tam wybrawszy żądaną ilość kożuszków krótkich, białych z wyszyciem i szamerowaniem, które zastąpić mogły mundury, odpowiednią ilość szarawarów granatowych, skórą podszytych, butów

długich palonych, czapek konfederatek amarantowych z białym barankiem, w miejsce płaszczy burki długie z szarego sukna. Cały ten transport, jeszcze tej samej nocy dostawiony został do obozu.

Oddział tak ubrany prześlicznie wyglądał. Wielobyckiemu w miejsce burki posłałem bardzo wygodny i okazały płaszcz z dublonów czarnych węgierskich, futrem na wierzch, podszyty karmazynowem suknem. To też męska, a wysmukła jego postać, energia, odwaga, młodość i zdrowie, tryskające z dwudziestokilkoletniego lica, to też płaszcz ten podniósł jeszcze więcej jego urodę, a cóż dopiero, gdy dosiadł białego, dziarskiego rumaka.

Załatwiwszy się w Ostrowcu, pojechałem zaraz do Czażowa, gdzie przebywał tymczasowo komisarz.

Ten już wiedział o powstaniu sztabu i od niego dowiedziałem się także, że prawie wszystkie oddziały kawaleryi, znajdujące się w województwie Krakowsko-Sandomierskiem, połączyć się mają w Pokrzywnicy. Generał Bosak bowiem pragnął z pokaźną siłą przejść wszerz i wdłuż całe Krakowskie i Sandomierskie, tym sposobem chciał obudzić zapał mieszkańców. Następujące wypadki objaśnią, jak tym fatalnym krokiem, wielką popełniono omyłkę.

Pojechaliśmy z kanonikiem do Pokrzywnicy. Obóz był rozłony na dworskiem podwórzu i na wsi.

Sztab zastaliśmy we dworze.

Partya cała, która wkrótce miała stanąć do zaciętej walki, składała się z następujących oddziałów:

Najprzód przeszło dwieście koni pułkownika Chmieleńskiego, generała Bosaka sto, Wielobyc-

kiego dwieście i kilkadziesiąt koni Turskiego. Całej zatem kawaleryi, zebranej razem w Pokrzywnicy, było blizko sześćset. Oddział ten wyróżniał się uzbrojeniem, umundurowaniem, jak i dzielnymi żołnierzami, nieraz już wypróbowanymi w ogniu.

Przesiedzieliśmy tam noc całą. Chmieleński ciągle na nogach, biegał na wszystkie strony, zaprowadzając ład i porządek w obozie. Kurjerzy przyjeżdżali jeden za drugim z różnych stron, z alarmującemi wiadomościami, donosząc o ruchu nieprzyjaciela, który widać zawiadomiony o licznem zebraniu powstańców, ze wszech stron ciągnął, chcąc zmusić do stanowczej bitwy.

Na nasze nieszczęście piechoty partyzanckiej nigdzie blisko nie było, a sama kawalerya nie mogła działać skutecznie przeciwko przerażającej sile nieprzyjacielskiej piechoty, tembardziej, gdy weźmiemy na uwagę, że kawalerya przechodzić musiała przez okolicę górzystą, poprzerzynaną stromemi parowami i głębokiemi wyrwami i wskutek tego w żaden sposób rozwinąć się nie mogła. Kurjerzy alarmowali, że z Kielc generał Czengiery prowadził kilka rot piechoty, artyleryę i kawaleryę. Z Radomia, Opatowa, a nawet z Końskich, także znaczne siły ciągnęły.

Nad ranem jeden z kuryerów zawiadomił, że Czengiery ściągnął już w nocy do Waśniowa, który jest o trzy wiorsty odległy i, że rano ze świtem można się go spodziewać pod Pokrzywnicą. Postanowiono zatem w sztabie, bez straty czasu opuścić niekorzystną pozycyę.

Wiedziano napewno, że gen. Czengiery, z którym złączyło się wojsko z Opatowa, mając armaty, traktem z Waśniowa do Pokrzywnicy pociągnie, a wiedząc także, że nieprzyjaciel od Radomia na Brody, a od Końskich przez Bodzentyn idzie—została zatem jedna droga boczna przez Michów, Szwarszowice, około Ostrowca, udać się w lasy Iłżeckie, lub w ostatnim razie na błoniach i równinie między Bodzechowem a Klimkiewiczowem przyjąć bitwę. Plan ten mógł się był udać, gdyby oddział kawaleryi nie był tak liczny. Droga wązka dozwalała najwięcej czwórkami rozwinąć się kawaleryi — można zatem łatwo sobie wyobrazić jak długi ciągnął się ogon. Oddział cały wyruszył jeszcze nim dnieć zaczęło, ale ostatnia czwórka opuściła Pokrzywnicę wtedy, gdy już było widno, tak że widety nieprzyjacielskie spostrzegły ruch naszych.

Górzysta, jak już wspomniałem okolica także zdradziła i odkryła kawaleryę. Czengiery natychmiast cofnął się z traktu, który prowadził do Pokrzywnicy i forsownym marszem, drogą przeciętną puścił się na spotkanie partyzantów. Na nieszczęście kawalerya zatrzymała się w Michowie chcąc dostać języka, i choć bardzo na krótko, jednak tyle, że gen. Czengiery miał czas dogonić pod Szwarszowicami powstańczą arjergardę. Generał Bosak szedł przodem, w awangardzie, za nimi cały oddział. Pułkownik Chmieleński z Antonim Wielobyckim, najdzielniejszym rotmistrzem i doborem młodzieży postępowali wolno w arjergardzie, wstrzymując cały ciężar prącego nieprzyjaciela.

Tak odstrzeliwając się, przeszli szczęśliwie około Podszkodzia, Częstocic i prawie cały oddział dostał się już na szosę, położoną między Klimkiewiczowem a Bodzechowem.

Około szosy płynie kanał rzeki Kamionny, z nadzwyczaj stromemi brzegami, dla kawaleryi nieprzebyta zapora, pozostał zatem jeden jedyny most, rzucony na kanale, i tylko on służyć mógł do przeprawy. To było powodem, że cały oddział się zatrzymał i powoli przeprawiać się zaczął na drugą stronę, gdzie już ogromne błonia, płaszczyzna, grunt piaszczysty, był dogodną miejscowością, na której wybornie mogła rozwinąć się kawalerya. Przytem las, bardzo blizki, mógł stać się znakomitą osłoną dla rejterującej się kawaleryi.

Wolna jednak przeprawa wystawiła bohaterską naszą arjergardę z Chmieleńskim i Wielobyckim na czele, na ciętą straszną walkę, tembardziej, że już miała do czynienia z piechotą i armatami nieprzyjaciela. Mimo to powstrzymał dzielny oddział w arjergardzie natarczywy napływ dragonów, kozaków i piechoty.

Tymczasem oddział cały szczęśliwie już przeprawił się przez most pod Bodzechowem i już na błoniach generał Bosak rozwijać zaczął i sprawiać swe hufce do boju; już także arjergarda z Chmieleńskim i Wielobyckim przeszła most bez szwanku, choć z znaczną stratą w ludziach. Już pułkownik dźwięcznym a silnym głosem daje komendę „formuj się!“ A Wielobycki, nieodstępny towarzysz, zachęca słowem i czynem do męstwa i odwagi, gdy w tem

kartacz zabija pod Chmieleńskim konia, podają mu drugiego, lecz kula karabinowa jedna, za nią druga i trzecia powala śmiertelnie rannego pułkownika. Wielobycki spostrzega zamieszanie, przypada, podaje rękę rannemu, chcąc unieść go z pobojowiska, ale straszne fatum niweczy bohaterskie plany — kula karabinowa w chwili, gdy Wielobycki schyla się nad Chmieleńskim, uderza go w głowę i kładzie trupem u nóg dogorywającego pułkownika. Adjutant Chmieleńskiego dopada do generała Bosaka, zawiadamia go o strasznem nieszczęściu. Nim jednak zdążono dać pomoc, oddział, trzymający arjergardę, widząc zabitych dowódców, przytem mając cały ciężar nieprzyjaciela na karku, chwieje się i ucieka— uciekając sprawia straszny paniczny popłoch w dalszych szeregach, nastaje ogólne zamieszanie, rozproszenie i ucieczka.

Część oddziału, po bohatersku, otacza Chmieleńskiego i trupa Wielobyckiego, pragnie przynajmniej unieść ich ciała.

Otoczeni jednak, od sto razy większej liczby nieprzyjaciół, co do nogi giną...

Dostać tak ważnego jeńca żywcem było to szczytem marzeń każdego oficera i szeregowca, bo to prowadziło do zaszczytów, orderów i uznania cesarskiego...

W chwili tej zbliża się rosyjska starszyzna, a gdy się dowiedzieli o tak ważnym jeńcu, schodzą z konia, aby bliżej zobaczyć człowieka, który był tak długo postrachem ich armii, a który bądź co bądź swem bohaterstwem nawet w sercach nieprzyjaciół budził podziw i szacunek.

Złożono ostrożnie na noszach, przygotowanych z karabinów, rannego i do najbliższego dworu, do Bodzechowa, majątku pp. Kotkowskich z wielkim tryumfem odniesiono, krew z ran uchodziła i co chwila zdawało się, że pułkownik skona... Zwołano jednak doktorów i wszelkich dołożono starań, aby jaknajdłużej utrzymać nieszczęśliwego przy życiu...

Noc całą dogorywał męczennik...

Sztuką lekarską podtrzymywano tylko tlejącą już słabą iskrę żywota... Można sobie wyobrazić, ile ten nieszczęśliwy człowiek cierpiał, i jak gorąco pragnął śmierci...

Z początku kilkakrotnie udało mu się pozrywać opaski i bandarze, tamujące ujście krwi, później już pilnowano uważniej...

Na drugi dzień bardzo rano, ułożono znowu ostrożnie pułkownika Chmieleńskiego na wozie. Doktorzy bowiem oświadczyli, że wątpią bardzo, czy dowiozą go do Radomia. Oddział nieprzyjacielski zabrał go z sobą i przy odgłosie muzyki, śpiewów i bębnów z krzykiem, wrzaskiem i hałasem, tego samego dnia jeszcze forsownym marszem wszedł do Radomia, wioząc tak wielkie trofea!...[1])

(„Pamiętniki Wład. Zapałowskiego (Płomienia) z r. 1863—1870“ — Wilno, 1913.)

---

[1]) Chmieleński został rozstrzelany w Radomiu d. 11 grudnia 1863 r.

POD GROZĄ SZUBIENICY.

Generał Kostanda, jako głównodowodzący wojskami, stojącemi w Koninie, wydał na mnie wyrok śmierci (z mocy przysługującego mu prawa) i polecił aresztowanie pułkownikowi Moskwinowi, wysłanemu w końcu czerwca specyalnie w tym celu z kawaleryą i kozakami dla ujęcia mnie nad granicą pruską, gdybym się, ostrzeżony w porę, miał ratować ucieczką. Sam zaś, na czele dragonów i innej konnicy, wyruszył po mnie do Gór ostatniego czerwca, w nocy o godzine 3-ej, jeszcze przed świtem.

Byłem tej nocy w domu, ale, jak zwykle, spałem w ubraniu, niepewny dnia ani godziny, kiedy mi uciekać z kraju wypadnie. Ponieważ do dużego gospodarstwa mego i do ciągłych wycieczek po obozach potrzebne mi były dwa konie wierzchowe, jeden zatem w dzień, a drugi lepszy na noc zawsze stały pod siodłem.

Punkt o 4-ej zastukano do okna mojej sypialni. Byłem sam jeden w domu, biedną bowiem matkę moją przed dwoma tygodniami wysłałem do domu, do Lublina, gdzie stary mój ojciec, zostawiony bez opieki, ciężko zaniemógł. Było to moje szczęście: gdybym matkę zostawił w Górach, kto wie, czy zaaresztowanie jej, jako zakładnika, nie byłoby mnie skłoniło do powrotu i oddania się władzy.

Na odgłos szyby zerwałem się z łóżka. Przed oknem z konia oddał mi posłaniec goraniński karteczkę.

„Uchodź w tej chwili. Jadą po ciebie.“

Bez namysłu chwyciłem rewolwer i z zegara, w którym były ukryte pieczęć narodowa oraz niektóre najważniejsze papiery, kompromitujące kilku ludzi, porwałem je, wsunąłem pośpiesznie w kieszeń i, wskoczywszy w stajni na konia, puściłem się jednym kłusem do Kuśnierza, do poczciwych pp. Moszczeńskich, gdzie przebywała moja żona z córeczką. Uprzedziwszy ich, że jeszcze dziś kraj opuszczę, powróciłem niebacznie przez Wójcin do Wilczyna, z zamiarem pozostawienia tam pieczątki i papierów, zawierających spis składów broni, świeżo sprowadzonej, i nazwy wsi, w których stacye naszej poczty zostały zorganizowane. Lekkomyślny ten krok był wynikiem gorączkowego stanu, w jakim się ciągle znajdowałem, i tej zbytecznej służbistości, która wskazywała mi konieczność pozostawienia tych instrukcyi ewentualnemu memu następcy, żeby nie ściągnąć na siebie zarzutu zupełnego opuszczenia naszej sprawy dla uratowania życia.

Niestety, źle się obliczyłem z czasem.

Droga do Kuśnierza i powrót do Wilczyna tuż nad granicę, mimo szybkiej jazdy, zajęły mi blizko dwie godziny czasu. Liczyłem, że oddział, zatrzymawszy się na rewizyi w Górach, nie może być przed godziną ósmą w Wilczynie; a że to była dopiero szósta rano, z całym więc spokojem wjeżdżałem w ulicę miasteczka, w której przedłużeniu stał pałac państwa Kazimierzostwa Krzymuskich.

Wtem, na samym skręcie w podwórze folwarku wilczyńskiego, spostrzegłem zdala szpicę kozacką, poprzedzającą oddział pułkownika Moskwina, o którego wyruszeniu inną drogą wprost do Wilczyna nie miałem wiadomości.

Skręcenie w bramę podwórza wprost do stajni cugowej było dziełem jednej chwili.—Zeskoczywszy z konia, kazałem coprędzej rozkulbaczyć, wytrzeć grzbiet słomą i zaraz derką przykryć, aby nie było śladu, że to koń obcy, z drogi przybyły.

Sam pędem strzały pobiegłem do pałacu, w którym już ruch był służby, a i sam dziedzic, zacny i poczciwy pan Kazimierz Krzymuski, już był na nogach.

Opowiedziałem mu w dwóch słowach, co się stało, i błagałem o ukazanie mi jak najwyżej położonego pokoiku, gdziebym się mógł był przed nadciągającą rewizyą wojska ukryć.

„Waryacie — krzyknął ze złością, ale i ze współczuciem zarazem—masz kluczyk, ruszaj na wieżyczkę!... drogę znasz.“

„Znam, znam — odrzekłem — bądź pan spokojny, żywego mnie nie wezmą!“

I pędem strzały puściłem się na poddasze po krętych schodach do maleńkiego pokoiku, do którego wpadłszy, drzwi za sobą zatrzasnąłem.

W kilka minut potem usłyszałem tętent koni, otaczających pałac wilczyński, a w ślad za tem szczęk pałaszy i ostróg po schodach kamiennych, wiodących z przede dworu na parter, który państwo Krzymuscy zamieszkiwali.

Serce mi biło, jak młotem. Odmówiłem litanię do Matki Boskiej, oddając się jej szczególnej opiece, a następnie pełną mocy chrześcijańskiej i wiary w Wszechmocnego Boga modlitwę: „Kto się w opiekę poda Panu swemu, a całem sercem szczerze ufa Jemu“, którą w największych niebezpieczeństwach zawsze w pamięci odmawiałem.

Rewizyę zaczęto od piwnic. Po ciszy, jaka przez ten czas panowała, ponowił się szczęk pałaszy po schodach, którymi żołnierze z piwnic wracali na parter. Tu pomimo wczesnej pory, zgromadziła się wystraszona rodzina, a panienki poczciwe—jak mi później opowiadał p. Krzymuski—odmawiały przed obrazem Matki Boskiej litanię za zmarłych, uważając mnie już za straconego.

Znów cisza półgodzinna zapanowała. Minuty zdawały mi się godzinami. Dostałem jakiegoś kurczowego drżenia wewnętrznego, a serce biło mi coraz silniej.

I znów ponowił się szczęk szabli i stuk ciężkich kroków, idących po schodach na pierwsze piętro, od którego już mnie tylko kilkanaście krętych stopni oddzielało.

W oczach mi się ćmiło, w gardle i ustach poczułem suchość, że mi język do podniebienia przywarł. Nie traciłem jednak przytomności, mimo bicia serca, które mi oddech tamowało. Wydobyłem rewolwer sześciostrzałowy i, jak dobrego przyjaciela, przycisnąłem do serca, a następnie kładłem tytułem próby do ust, z najmocniejszem postanowieniem strzelenia sobie w chwili, w której za klamkę drzwi moich kto poruszy.

Do śmierci nie zapomnę tego wrażenia zimnej stali, odbijającej się drganiem na moich zębach w gorącej jamie ustnej. W owej chwili stanęła mi przed oczyma moja biedna żona z Jadziuchną w czarnych, żałobnych szatach, ukazały mi się postacie moich starych rodziców, pochylonych nademną. Świat cały zdał mi się otulonym w jakąś mgłę przejrzystą, z poza której widniały tylko przedzierające się jasne promienie słońca, błyszczącego na niebieskiem, najmniejszą chmurą nie zaciemnionem sklepieniu.

I zrobiło mi się żal życia, żal mej młodości, żal drogich mi istot, licznych przyjaciół i tego wszystkiego, co dotąd było celem mego życia, t. j. drogiej naszej Ojczyzny.

W tej chwili zagrzmiało straszliwie.

Obejrzałem się na okno. Na lazurowem tle nieba zawisł czarny obłok, niby kula, krepą owinięta, unosząca się tuż nad dworem i podwórzem wilczyńskiem.

Nagle błyskawica czerwonym ogniem oblała izdebkę, piorun trzasł tak blizko, że szyby w oknie za-

dzwoniły, i lunął nie deszcz, ale potok wody, tak wezbrany, że jedną strugą spływał po szybach.

Takiej ulewy w życiu mojem nie widziałem. Było to wprost oberwanie się chmury, nawałnica straszliwa, której cudny słoneczny ranek wcale nie zapowiadał.

Konie kawaleryjskie, uwiązane u sztachet, rwać się zaczęły. Wśród szalonego wichru, huku piorunów i ulewy, żadna siła ludzka utrzymać zwierząt spłoszonych nie była zdolna. Rozbiegały się one po podwórzu, po ogrodzie, pędząc, jak szalone, przed siebie. Okienko wieżyczki stanowiło niejako obserwatoryum, z którego cały Wilczyn było widać. Stałem na środku pokoju z rewolwerem w dłoni, czekając, co z tego wszystkiego wyniknie.

Naraz usłyszałem tubalny głos jakiś na schodach i komendę: „K' łoszadiam!“ (do koni). Zaczem szczęk szabli, ostróg i butów żołnierskich rozległ się po schodach, ale z góry na dół — i naraz wszystko w pałacu cichło. Tylko nawałnica wyła coraz żałośniej, a gromy coraz gęściej padały, tworząc echa jednej piekielnej kanonady.

Z okienka mego ujrzałem dragonów i kozaków, chwytających rozbiegłe konie i dosiadających je z nadzwyczajnym pośpiechem. Krzyżującej się komendy nie można było dosłyszeć, widziałem tylko z mego obserwatoryum, że, prócz kilkunastu przytulonych do koni kozaków, którzy poza podwórzem na straży rozsypani stanęli, reszta kawaleryi, z oficerami na czele, podążyła do obszernych stajen straży granicznej, położonych na samej granicy, naprzeciwko pruskiej komory wójcińskiej. W staj-

niach tych, pustych w czasie powstania, dragoni i kozacy poumieszczali konie, a oficerowie schronili się do domu mieszkalnego brygady.

Upłynęła godzina mego strasznego oczekiwania. Burza zwolna ucichła, cała chmura rozpłynęła się nad jednym prawie Wilczynem, i słońce znów zajaśniało.

Wśród tej ciszy zastukano trzy razy do moich drzwi.

Nie odzywałem się, by obecności mojej nie zdradzić.

„Zdechłeś ze strachu, a psiąkrr?..“

Po tem ostatniem przysłowiowem zaklęciu poznałem poczciwego pana Kazimierza Krzymuskiego.

„To pan?“ — zawołałem, otwierając drzwi.

„Jużci że ja, psiąkrr... Narobiłeś strachu kobietom w domu i taką straszną burzę z nieba ściągnąłeś.“

„Cóż mam począć, drogi panie?“ — zapytałem błagalnie.

„Umykaj zaraz do Prus. Kawalerya z oficerami są o dwie wiorsty na postoju. Zaraz po burzy przyjechali do nich oficerowie szwarchuzarów z Wójcina i chcieliby wypić na Bruderschaft. Czy mogę posłać im kosz szampana?“

„Mnie się pan o to pyta?“

„Ano, psiąkr... wszakże Rząd Narodowy ogłosił odezwę do szlachty, żeby wojsk nieprzyjacielskich niczem nie podejmować, odmawiać im żywności, napoju, furażu...“

„Nie żartuj, drogi panie, w chwili, kiedy mam duszę na ramieniu.“

„Więc pozwalasz, panie naczelniku?“ — zapytał ze śmiechem.

„Poślij im pan całą piwnicę, byłem zdołał z życiem ujść.“

„Posyłam w te pędy kucharza z winem i jadłem. A ty ruszaj do stajni. Koń osiodłany. Machaj do Prus przez lasy nożyczyńskie. Kozacy będą cię gonili, ale po tej rozmokłej ziemi ich szkapy zmoczone nie dadzą rady twojemu dzielnemu wałachowi.“

Usłuchałem rozkazu. Pożegnawszy się serdecznie z moim zbawcą, nie wstępowałem już na dół do panien, tylko pobiegłem wprost do stajni i, w niespełna pięć, minut wyjeżdżałem w galopie przez boczną bramkę podwórza wprost na pole.

Dwóch kozaków zoczyło mnie i pędem się za mną puścili. Ale ja znałem wszystkie ścieżyny, miedze i rowy w Wilczynie, bom tam nieraz z chartami polował. Nietrudno mi więc było umknąć im z przed oczu.

Wpadłem nareszcie do ogromnych lasów nożyczyńskich, które także dobrze znałem, bośmy tam zwykle pojedynki odbywali. Graniczyły te lasy z olbrzymią przestrzenią lasów rządowych, raz więc dostawszy się do nich, byłem już bezpieczny.

Słońce było już wysoko na południu, kiedym się znalazł przed chatą gajowego. Chłop to był nasz polski, patryota, jak wszyscy poznańscy włościanie, gorący. Konia mi przyjął do stajenki i założył mu zieleniny, a mnie na skromny posiłek z kaszy na mleku i kartofli ze słoniną poprosił.

Wypocząwszy parę godzin, obdarzywszy poczciwego chłopa mamoną, którą żaden z nich nie gardzi, wypytałem się go o drogę do Kunowa, do zacnego mego znajomego, pana Jul. Mittelstaedta, dziedzica dóbr Kunowo, a brata dobrego mego znajomego, p. Aleksandra Mittelstaedta z Łuszczewa, w Konińskiem.

„Bez las panu drogę pokażę, a za lasem to się już pan po wsiach dopyta.“

Uspokojony na ciele i duchu, pojechałem w świat, żegnając ze ściśniętem sercem kraj mój rodzinny.

(„Kartki z mego pamiętnika“ — Jordan (Julian Wieniawski) — Warszawa, 1911.)

Z PRZYGÓD POWSTAŃCZYCH

Obróciwszy się na koniu bokiem, aby zobaczyć czy szarża idzie w porządku dystansami plutonowemi, nagle uczułem ból w piersi i w lewem ręku i spadłem z konia; zerwawszy się na nogi, uczułem kłucie w piersi, a lewa ręka opadła mi bezwładnie: koń zaś zatrzymał się i stał spokojnie. Zaraz też dopadli do mnie adjutant Augustowski i kapitan Folkierski, dzisiaj znany uczony i inżynier w Limie, który budował kolej żelazną przez Kordyliery, i ci, zesiadłszy z koni, dopomogli mi wsiąść na nowo na konia, lecz krew pokazała się na białej sukmance na piersi, a z lewej ręki krew się lała rękawem. Zaraz też w szeregach konnicy szarżującej powstało zamieszanie i rozległ się okrzyk trwogi: „Nasz dowódzca zabity!“ Kilkadziesiąt konnych otoczyło mnie, lecz moje zaklinanie, aby na nowo sformowali się i uderzyli na kolumnę, na nic się

nie przydało, bo konnica rozpoczęła uciekać za linią tyralierów; żuawi zaś stanęli w biegu i zaczęli strzelać do kolumny moskiewskiej, która już łamać się zaczynała i o odwrocie myślała. Moskale, widząc nagłe wstrzymanie szarży i wstrzymanie się biegnących do ataku na całej linii bojowej powstańców, nabrali na nowo ducha i rozpoczęli wysuwać się z budynków i ze wsi; armaty zaś zaczęły strzelać do kosynierów i ci na nowo do lasu uciekać zaczęli.

Miałem jeszcze tyle sił, że, cofnąwszy się za linią żuawów i strzelców, rozporządziłem odwrotem i nakazałem skrzydłu lewemu, furgonom z żandarmeryą i pół szwadronem ułanów, po lewej stronie będącym szosy, cofnąć się śpiesznie do lasów i ku Wiśle i nocą maszerować; centru zaś naszej linii bojowej, prawemu skrzydłu i rezerwom z całą pozostałą konnicą cofnąć się do lasów na prawą stronę i tam starać się przedostać do powiatu łukowskiego.

Dowództwo nad tą częścią oddałem Pawłowi Gąsowskiemu i zaleciłem kozaków nie dopuszczać po za tyły cofających się; lewe zaś skrzydło, furgony i ułanów pół szwadrona oddałem kapitanowi Wł. Dąbrowskiemu i Fabianiemu.

Tak rozporządziwszy odwrotem, uczułem, że siły coraz to bardziej opuszczać mnie zaczęły. Kilkudziesięciu ułanów odprowadziło mnie do krzaków, po prawej stronie szosy położonych, gdzie nieprzytomnego włożono mnie na bryczkę, a wraz ze mną wsiadł adjutant Zdzisław Dąbrowski i wywiózł mnie z pola bitwy do poblizkiego dworu, gdzie złożono mnie w pokoju dla opatrzenia ran. Tam też przy-

szedłem do przytomności i zobaczyłem się otoczony kilku paniami, które usiłowały rozebrać mnie i zatrzymać krew, w czem im dopomagał adjutant. Okazało się, że miałem piersi przestrzelone i lewą rękę przy samem ramieniu; po zatamowaniu krwi przyszedłem zupełnie do przytomności i prosiłem o przyzwanie księdza, gdyż rany moje zdawały się być śmiertelne.

Na to żądanie odpowiedziano mi, że posłano tę samę bryczkę do Parysewa po felczera i księdza, i że będę musiał być przeniesiony w inne miejsce, bo bitwa się jeszcze nie skończyła i kozaki mogą wpaść lada chwila do dworu. Niezadługo też wpadł do dworu kapitan żandarmeryi powiatu łukowskiego, który, słysząc strzały armatnie, zbliżył się na plac bitwy, a, dowiedziawszy się, że został ranny dowódzca, udał się w tę stronę po bryczkę i przybył ze swoją żandarmeryą, liczącą około 34 konnych, aby pilnować bezpieczeństwa mej osoby. Oznajmił on, że musi zaraz mnie zabrać i wywieźć w odleglejsze miejsce i bezpieczniejsze, gdyż kozaki już pokazują się pod wsią, szukając cofających się powstańców.

Zaraz też odziano mnie w szlafrok, wywieziono i złożono na wóz w grochowiny i przykryto temiż, potem żandarmerya otoczyła wóz i całym pędem pognano do poblizkiego lasu i drożynami leśnemi wieziono; adjutant zaś wraz z kapitanem owej żandarmeryi, towarzyszyli konno.

Wiem, że straszny ból cierpiałem za każdem uderzeniem woza o korzenie i że przytomność na nowo

straciłem, odzyskałem ją zaś dopiero leżąc na kanapie w pięknym pokoju, a około mnie stała jakaś piękna i szlachetnych rysów twarzy Pani, adjutant Dąbrowski, jakiś siwy starzec i mężczyzna z twarzą szlachetną, któremu jednej ręki nie dostawało. Zapytałem się, gdzie jestem, na to adjutant oświadczył, że jestem u państwa Karskich i że felczer przybył z Parysewa, aby mi rany opatrzeć. Zaraz też staruszek, były żołnierz wojsk polskich, obeznany z ranami, opatrzył takowe i oświadczył, że kula cudownym sposobem minęła serce i że jedynie pleura piersiowa sparaliżowaną została na razie, lecz rana nie jest śmiertelna; co zaś do ręki, tak samo oświadczył, że mam wprawdzie przestrzelone muszkuły, lecz kość nienaruszona została, i że z czasem odzyskać mogę władzę w ręku, lecz potrzebuję spokoju zupełnego i dłuższego leczenia. Po opatrzeniu ran i zatamowaniu krwi, dano mi buljonu i potem starego wina, co mnie zupełnie do sił na nowo przyprowadziło i rozpocząłem dopytywać się o wynik bitwy. Pan Karski opowiedział mi, że już do niego przysłano kilkunastu rannych i że Moskale nie gonili na razie za cofającymi się, bo sami ponieśli znaczne straty i że nocują, obozują na polu bitwy; Moskalami zaś dowodził jenerał Müller von Zakamelski.

Co do naszych strat nie może nic pewnego powiedzieć, wie jednakże od rannych, że jedna część oddziału z furgonami cofnęła się ku Wiśle; druga zaś cofnęła się w lasy i o milę drogi od jego majątku w lesie obozuje i zgromadzają się tamże roz-

proszeni powstańcy, dokąd posłano żywność i furaż dla koni i fury po rannych, których rozwożą po dworach i do klasztoru poblizkiego ciężko rannych odsyłają.

Niezadługo też przybył do tegoż dworu oficer od Pawła Gąsowskiego, który miał polecenie dowiedzieć się, gdzie się znajduję i zdać mi raport. Przyprowadzono go też zaraz do mnie i od tegoż dowiedziałem się, że prawe nasze skrzydło, centrum linii bojowej, konnica i kompania kosynierów znajdują się niedaleko w lesie i gromadzą się pod rozkazami Pawła Gąsowskiego i oficerów sztabu, lewe zaś nasze skrzydło z furgonami cofnęło się ku Wiśle; Moskale zaś poprzestali pogoni i obozują we wsi Żelazna nad szosą. Wysłuchałem raportu, poleciłem Dąbrowskiemu napisać rozkazy do Gąsowskiego, aby ludzi zgromadził i broń, i starał się złączyć z konnym oddziałem dowódzcy Zielińskiego, który ukrywa się w okolicy, lub się znajduje w powiecie łukowskim, a do tegoż napisałem polecenie, aby raczył objąć nad oddziałem komendę tymczasowo i zaprowadził oddział nad Wisłę, aby się mógł cały na nowo połączyć i powrócić w powiaty warszawski lub rawski. Posłałem też gońca z rozkazem cofania się za Wisłę do Fabjaniego, aby przeprawił lewe skrzydło, furgony i konnicę, tam pozostałą, za Wisłę i w czerskim okręgu czekał na dalsze rozkazy.

Tak się skończyła owa wyprawa, na pomoc wysłana jenerałowi Krukowi, co każdy mógł przewidzieć; szczęściem jednakże, że przez cofanie się

dwiema drogami każdej części oddziału w inną stronę, zmusiło się nieprzyjaciela do pozostania na placu bitwy 24 godzin, bo przez to mogli się powstańcy wycofać, każda część w inną stronę; nieprzyjaciel zaś nie mógł zaraz zdecydować się za którą częścią gonić, bo, goniąc za jedną mogła druga część na niego z tyłu napaść i klęskę mu zadać.

W nocy przybyło do tegoż dworu dużo rannych i zbierających się i rozproszonych powstańców, przeto dla zabezpieczenia mej osoby od aresztowania mogących nadejść do wsi kozaków, uradzono, aby mnie zaraz wywieźć do innego, bezpieczniejszego miejsca. W tym celu też zajechał powóz i wraz z adjutantem odwieziono mnie do majątku, gdzie mieszkał krewny mój z Poznańskiego, staruszek K. Bojanowski i temuż mnie oddano, lecz i tam nie mogłem długo pozostać, gdyż z Kałuszyna kozaki często oddawali mu wizyty, jako podejrzanemu o przynależenie do organizacyi cywilnej i robili tam często rewizye.

Krewniak, widząc moje cierpienia, posłał zaraz po lekarza do Kałuszyna, który też przybył w południe i opatrzył rany, lecz powiedział, aby mnie zaraz przewieziono w takie miejsce, gdziebym mógł z tydzień spokojnie leżeć, rany bowiem mogą stać się śmiertelnemi, jeżeli nie zapobiegnie się zapaleniu błony piersiowej i w lewem ręku przy samem ramieniu zapaleniu żył, muszkułów i ściągaczy, które kulą poprzerywane lub naruszone zostały; ofiarował się też pozostać przy mnie do czasu aż niebezpieczeństwo minie i rany ropić się zaczną.

Przybył też do tegoż dworu z raportem z oddziału oficer Lucyan Augustowski po południu i doniósł mi, że prawe nasze skrzydło, centrum i większa część konnicy około 600 ludzi wycofało się do lasu; lewe zaś z żandarmeryą błońską i furgonami szczęśliwie dostało się do Wisły i zapewne już się przeprawiło przez rzekę i znajduje się w Czerskim. Także doniósł mi, że dowódzca Zieliński przybył do obozu i Gąsowski doręczył mu moje zawezwanie, aby tymczasowo objął dowództwo i doprowadził oddział za Wisłę, co też tenże przyjął i wyruszył w powiat łukowski; nieprzyjaciel zaś, mając znaczne straty i nie wiedząc za którym oddziałem gonić, pozostał noc całą na placu boju pod Żelazną i w końcu ruszył ku Wiśle w pogoń za naszem lewem skrzydłem. Zawiadomił mnie także Augustowski, że, o ile już wiadomo mu było od obywateli, to oddział stracił około 100 w zabitych i znaczną liczbę rannych; lecz i Moskale musieli ponieść znaczne straty, bo włościanie ze Żelazny mówili, że mieli śmiertelnie rannego pułkownika Kurgaczewa i więcej jak 40 oficerów zabitych; jenerał zaś dowodzący, baron Müller von Zakamelski, odesłał rannych zaraz w nocy z eskortą na wielu podwodach, zgonionych z okolicznych wsi szosą ku Warszawie i zabitych też pochować kazał w nocy i konnicą zatratować mogiły, aby śladu nie pozostawało, ilu w tej bitwie padło sług cara.

W ogólności moskale śmiesznie postępowali ze swoimi zabitymi, bo ich chowali bezzwłocznie jeszcze w czasie bitwy i nie dopuszczali nawet włościan,

aby nikt nie mógł wiedzieć, ile poległo Moskali. Po powstaniu wprawdzie pisano, że przeszło 100,000 zginęło w zabitych i rannych w tem powstaniu, chociaż w gazetach zawsze tylko przyznawano się do kilku zabitych żołnierzy w bitwach; powstańców zaś na setki liczono, pozostałych na placu boju i stosownie do wykazów carskich musiałyby w tem powstaniu krocie poledz powstańców.

Zawsze jest rzeczą pewną, że w powstaniu tem poległo około 40,000 naszych wiernych synów Ojczyzny i że Moskali musiało poledz przeszło dwa razy więcej, nasi bowiem mieli broń o wiele gorszą, lecz, walcząc u siebie i zawsze w zakryciu i w zasadzkach, musieli w każdej potyczce więcej wystrzelać lub wyrąbać wrogów, jak się do tego przyznali dowódzcy wojsk cara. Przy tem Moskale zwykle w pijanym stanie się bili i przewagą nas gnietli, przeto musieli mieć straty w zabitych o wiele znaczniejsze od naszych. Także jest to rzeczą pewną, że te pułki, które walczyły w powstaniu były do połowy w swej liczbie zmniejszone i musiały po powstaniu dość długo być rekrutami zapełniane, do czego się przyznali sami Moskale, opisujący potem owo powstanie dość zresztą bezparcyalnie, bo chwalili odwagę powstańców, a niektórym dowódzcom przyznali zdolności, odwagę i prawdziwe poświęcenie bez granic.

Jak fałszywe raporta zdawali dowódzcy wojsk cara do władz swych po każdej bitwie, niechaj posłuży za dowód raport, który po tej bitwie zdał jenerał Müller von Zakamelski i który został ogło-

szony w urzędowych pismach Moskali. Otóż jenerał doniósł, że spotkał na szosie lubelskiej pod Wolą oddziały powstańcze Jankowskiego i Żychlińskiego w sile 5000 ludzi i chociaż miał tylko około 3000 żołnierza i 2 armaty, zaatakował powstańców i, po upartej walce, rozbił owe oddziały zupełnie, a resztek dognał nad Wisłą i zniósł zupełnie, zabiwszy około 300 powstańców i t. d. Straty zaś swoje ocenił na zabitych kilku kozaków i trzech z piechoty żołnierzy.

Zapewne czytający moje Pamiętniki zapyta się sam siebie, dlaczego nie zostałem zawiadomiony przez okolicznych panów dziedziców i organizacyą, że od Miłosny szosą dążył ku nam tak liczny nieprzyjaciel, bo, wiedząc o tem, mógłbym nie przechodzić szosy i skierować się w inną stronę, aby uniknąć starcia. Dotychczas nie pojmuję powodu opieszałości i niedołęztwa organizacyi tamecznej i jedynie przypisać to muszę niechęci panów szlachty do tego oddziału, posądzanego o rewolucyjne dążności, który wszedłszy w Lubelskie i na Podlasie zaraz rozpoczął jednać sobie lud i energicznie i surowo karać każde nadużycie lub nieposłuszeństwo okazywane wobec stanowczych i surowych rozkazów dowódzcy, któremu zarzucano amatorstwo wieszania i czerwone rewolucyjne dążności wobec szlachty. Może też chciano się jaknajśpieszniej pozbyć owego oddziału, bo wyjazd nagły organizatora powiatu stanisławowskiego do Warszawy, aby się usunąć od odpowiedzialności za dostawienie nam owych 114 popsutych karabinów i zamokniętych 5000 ładunków,

zamiast 400 karabinów dobrych i 40,000 suchych ładunków, musiał mnie naprowadzić na tę myśl, że niechętnie mój oddział był widziany za Wisłą i że z namysłem nie zawiadomiono mnie o nadchodzących siłach tak przemagających jenerała Müllera von Zakamelskiego, którego wysłano z Warszawy w pogoń za nami zaraz po dowiedzeniu się, że się udałem w Lubelskie z pomocą jenerałowi Krukowi; ta nowina bowiem rozgłosiła się po Warszawie; spędzony zaś z egzekucyi pułkownik Muchanów musiał donieść władzom, że bardzo liczny oddział napadł na niego i że pomaszerował ku Wiśle.

Zebrawszy wiadomości od oficera Lucyana Augustowskiego o wyniku bitwy, podyktowałem adjutantowi raport obszerny do Rządu narodowego i wysłałem tenże przez pewnego abywatela do Warszawy.

W tym raporcie nadmieniłem, że, jako ranny, nie mogę osobiście dowodzić i przeto upraszam o przysłanie lub naznaczenie na moje miejsce dowódzcy, po wyleczeniu się zaś z ran powrócę do powiatu warszawskiego i zdam rachunki i władzę naczelnika sił zbrojnych w ręce innego, którego Rząd narodowy naznaczy na moje miejsce.

Lucyana Augustowskiego zaopatrzyłem w rozkazy dla oddziału i doręczyłem mu blankiety z moim podpisem i pieczęcią oddziału, dla czynienia rekwizytów i wydawania rozkazów w mojem imieniu władzom cywilnym i panom dziedzicom i posłałem go do Gąsowskiego z powrotem, zalecając mu, aby o ile możności starał się powrócić jaknajśpieszniej

w powiat warszawski i tam dołożył starania, aby broń nie zaginęła i zebraną została w punkta pewne w okręgu czerskim; dowódzcy zaś Zielińskiemu kazałem napisać list i własnoręcznie go podpisałem, w którym go proszę aby oddział doprowadził do Wisły i tam go oddał pod komendę Gąsowskiego, lub tego, którego zapewne Wydział wojny Rząd narodowy nadeśle jako dowódzcę. Dałem też oficerowi Augustowskiemu kilkaset rubli, aby wypłacił tymczasowo żołd ludziom i aby w oddziale na nieprzewidziane wydatki były pięniądze; chociaż poleciłem Gąsowskiemu, aby na mocy mego blankietu zażądał od organizacyi pieniędzy, jeżeliby koniecznie tychże potrzebował w marszu.

Tu uważam za potrzebne wspomnieć, że, idąc na czele kolumny konnicy do szarży, miałem przewieszoną przez plecy torebkę, w której mieściły się pieniądze około 1600 rubli, niezbędne na wydatki w marszu i że przy spadnięciu z konia, wskutek otrzymanych ran, owa torebka zesunęła się z ramion moich i zaginęła, przez co pozostałem bez grosza; jednakże owę torebkę z pieniędzmi i z papierami znalazł ułan polski i sam mi ją odniósł do krewniaka i doręczył, a kiedy chciałem mu dać 100 rubli nagrody, nie chciał ich przyjąć i prosił jedynie o nominacyą na podoficera, o pokwitowanie i o zapewnienie, że w razie jego śmierci pamiętać będę o jego rodzicach, mieszkających we wsi, pod Nadażynem, Elżanów. Był to syn włościanina, byłego żołnierza z 30 roku i tenże może posłużyć niedowiarkom za dowód, że lud nasz czuje się być

polskim i że moralnie o wiele wyżej stoi od ludu innych narodowości. Czyżby ułan moskiewski, Czerkies lub Kozak, znalazszy w bitwie tak znaczną sumę pieniędzy, był takową oddał dowódzcy swemu? Na to pytanie niechaj odpowie sumiennie każdy dowódzca tych trzech broni, Polsce tak zawsze rany zadających, i mordujących wierne dzieci jej za to, że ją kochają i pragną być wolnemi, równemi i niepodległemi.

W nocy lekarz z Kałuszyna postanowił mnie wywieźć do wsi Brzezinki, o kilka mil drogi dalej za Kałuszyn, bo bytność moja u krewniaka była połączoną z niebezpieczeństwem przed aresztowaniem od włóczących się kozaków i przytem w owej wiosce, otoczonej lasami i będącej na zupełnem uboczu od dróg większych i traktów, mógłem spokojnie oddać się leczeniu ran. Lekarz posłał też do dziedzica tej wsi, mieszkającego w innym majątku, do pana Suchodolskiego posłańca, prosząc go, aby zaraz przybył do Brzezinek, gdzie ma gościa, potrzebującego jego opieki, poczem wsadził mnie na bryczkę i wraz ze mną i adjutantem Dąbrowskim ruszyliśmy drożynami leśnemi do owej wioski, mającej mi służyć za pewne schronienie. Stanęliśmy też tam we dworze około godziny pierwszej po północy, i przebudziwszy gospodynią, a raczej szafarkę, bo dziedzic tam nie mieszkał, jako i służbę, zainstalowaliśmy się w pokojach.

Po opatrzeniu ran moich, lekarz ułożył mnie na kanapie i sam wraz z adjutantem także się położyli, aby snem się pokrzepić, lecz zeledwie pogasiliśmy

światło, bo już dnieć zaczynało, wpadła przerażona szafarka do nas i zawiadomiła, że kozaki są już w podwórzu i tam napędzają ludzi, aby dwór dał podwody pod nadchodzący oddział moskiewski, goniący za powstańczym oddziałem, dnia poprzedniego przez tę wieś przechodzącym.

Nie pozostawało nic innego, jak przytomnością umysłu, odwagą i zimną krwią ratować się od niechybnego przyaresztowania. Zwłaszcza sam lekarz stracił zupełnie siłę myślenia, bo stanęło mu w umyśle to, że on był powodem sprowadzenia mnie do tego dworu, i że go posądzić mogli o zdradę. Adjutant też złowrogo spoglądał i, ubierając się z pośpiechem, zbierał papiery nasze, pieczęć i za rewolwer chwycił. Widząc to, zerwałem się z kanapy i kazałem adjutantowi z papierami i z pieczęcią uciekać przez okno do ogrodu, za którym zaraz stała gęsta olszyna i bagna, i tamże się ukryć; doktorowi zaleciłem, aby się nie ruszył krokiem z pokoju; szafarce poleciłem rozgłosić pomiędzy ludźmi, że mnie mają uważać jako zarządcę i tak tytułować, a, nie mając obuwia na nogach, bo tylko długie wojskowe palone buty miałem z sobą, wziąłem na nogi skórzane pantofle gospodyni i, ubrawszy się w szlafrok, będąc przez szafarkę silnie przewiązany w pasie sznurem szlafroka, założyłem za połę ranną rękę i nakryłem głowę czapką wójta, która przypadkowo wisiała w sieni i była opatrzona lampasem i kokardą urzędową; tak zaś ubrany w pośpiechu wyszedłem z dworu na podwórze dworskie, w pobliżu będące, gdzie zastałem kilkunastu koza-

ków, nakazujących podwody ludziom dworskim i gumiennym. Zaraz też podszedłem do kozaków i oświadczyłem im, że jestem wójtem i zarządcą tego majątku, i że chętnie dam im kilka rubli, aby nie wyganiali mi podwód, bo mam z pól zwozić do stodół zboże, i zarazem ofiarowałem wódki kilka garncy i cygar, których zapas miałem ze sobą znaczny; kozaki popatrzyli na mnie ciekawie i zaczęli się targować; tymczasem nadbiegł gumienny i parobcy i, witając mnie jako zarządcę, domagali się dyspozycyi i twierdzili, że konie nie przyszły jeszcze z pastwiska, i pytali ile dać podwód i którzy parobcy pojadą. To odezwanie się zacnych włościan przekonało jeszcze bardziej kozaków, że musiałem być zarządcą i wójtem i targowali się ze mną, aż stanęło na tem, że im dam 10 rubli, wódki dwa garnce i 50 cygar, a oni za to tylko dwie podwody mi zabiorą.

Pytał mnie uradnik dlaczego jestem tak blady, na co mu odpowiedziałem, że wstałem dopiero z łóżka za ich przybyciem, bo cierpię na febrę i ta mnie tak wycieńczyła i zmęczyła. Na co mi tenże odpowiedział, abym pił własny mocz i wódkę, a wyzdrowieję zapewne. Podziękowawszy za tak moskiewską receptę na febrę, powiedziałem, że udam się po pieniądze do dworu i cygara i że każę wódki im wynieść. Udałem się do dworu, gdzie opowiedziałem lekarzowi w krótkości co zaszło, wziąłem od niego 10 rubli i 50 cygar, a szafarce poleciłem wódki posłać kozakom; sam zaś powróciłem na podwórze, gdzie doręczyłem kozakom pieniądze i cy-

gara, a sługa przyniosła duży dzban okowity, z którego kozacy zaczęli się raczyć, a resztę powlewali do swoich manierek blaszanych.

W tym to czasie kozak, stojący przy bramie zawołał, że już idzie pułkownik i w rzeczy samej dostrzegłem wychodzące kolumny marszowe moskiewskiego wojska z lasu i zbliżające się wprost do wsi po drodze piaszczystej. Była tam piechota, szwadron ułanów, sotnia kozaków i dwie armaty, przeto licznych gości spodziewać się mogłem. Kozaki zaraz pośpieszyli naprzeciw swoim i tam widocznie zdali raport co widzieli i zapewne zapewnili, że podwód nie było we dworze tyle ile zapotrzebowali. Czekałem chwilę w podwórzu i zobaczyłem, że kilku wieśniaków siedziało na dachu stodoły pod pozorem naprawiania poszycia słomianego, lecz zapewne dla tem lepszego pilnowania Moskali. Przyszedł też do mnie karbownik i, zdjąwszy pokornie czapkę, oświadczył, że mogę być spokojny, bo wszyscy ludzie wiedzą, że jestem zarządcą, i że nie ma w całej wsi zdrajców. Także nie mogłem już uciekać bo mnie dostrzegli do wsi wchodzący Moskale, przeto musiałem i nadal odgrywać rolę rządcy i wójta. Zaraz też udałem się do dworu i spytałem szafarki, czy posiada herbatę i jakie zapasy, aby przyjąć oficerów, gdyby do dworu na śniadanie zechcieli zawitać, a nareszcie prosiłem ją, aby nie żałowała wódki i jedzenia Moskalom i gościnnie ich przyjmowała, gdyby do dworu przyszli. Zapasy były w domu, staropolską gościnnością bogate, i tak samo okowity beczka stała w piwnicy; strawa zaś

dla czeladzi gotowała się; przeto można było od biedy z Moskalami się uporać, gdyby się natrętnymi okazali.

Doktór siedział, jak na śpilkach, lecz widząc mnie tak pewnego siebie i wytrzymałego na ból ran, które z każdym krokiem piekielnie mnie parzyły, uspokoił się i oświadczył, że gdyby Moskale do dworu przyszli, to mam im oświadczyć, że przybył jako lekarz do mnie chorego z Kałuszyna, zresztą znany on tam był wszędzie i nawet przez Moskali; był on bowiem na Kaukazie w armii cara, jako lekarz.

Prosiłem go, aby na krok nie ruszył się z pokoju i Moskalom się nie pokazywał; ja zaś wyszedłem z dworu i udałem się przed studnią, obrosłą topolami, naprzeciw dworu będącą, gdzie już ułani czerpali wodę, aby napoić konie. Zabrawszy z sobą cygar w kieszenie szlafroka tureckiego i dość bogatego z czapką urzędową wójta na głowie, udałem się przed studnię i zapytałem się ułanów zkąd idą i za kim szukają, a częstując ich cygarami, pytałem czy tu długo zabawią. Odpowiedzieli mnie, że dowódcą oddziału tego jest pułkownik Andruszewicz i gonią za szajką, lub bandą Grzymały, który jest szwagrem ich pułkownika, ten zaś chce go złapać i zaraz powiesić, jako buntowczyka, a w końcu oświadczyli mi, że zaraz ruszą w dalszą drogę, aby dogonić powstańców, za których to śladem idą. Przeklinali też owę wojnę i narzekali, że im naczelstwo odpocząć nie daje, goniąc za powstańcami, których jak mrowia po lasach się mieści i nigdy ich nie mogą wyłapać ani wybić. To opowiadanie

przerwał zbliżający się oficer, któremu się ukłoniwszy, oświadczyłem kim jestem; że chory jestem i musiałem wstać z łóżka, a chociaż dziedzica nie ma w dworze, to, jako zarządzca, proszę pułkownika i oficerów na śniadanie do dworu. Oficer, bystro popatrzywszy na mnie, coś pod nosem sobie zamruczał i powiedział, że oświadczy pułkownikowi moje zaproszenie, lecz zapewne go nie przyjmie, bo się spieszy w dalszy marsz. Potem spytał się ironicznie, czy nie byli tu powstańcy dnia wczorajszego i czy nie wiem, że szajka Żychlińskiego rozbitą została, i że sam buntowczyk sukinsyn został zabity, lub jest śmiertelnie ranny, bo gdzieś go w tej okolicy przechowują Lachy. Odpowiedziałem mu, że, będąc chory, nie wychodziłem nigdzie i nic nie wiem; co zaś do powstańców oświadczyłem, że ci wszędzie są, przeto i tu zaglądają, a to nie jest winą moją, że im rady dać nie może armia, i nie może obronić nas zarazem, abyśmy im nie potrzebowali dawać żywności i furaży. Na to z przekleństwem odpowiedział, że wy wszyscy jesteście buntowczyki i car powinien was kazać wszystkich wysłać na Sybir, a dopiero spokój mieć będzie w Polsce.

Poznałem z mowy, że to był zwolennik Murawiewa wieszatiela, przeto ukłoniłem mu się i udałem się do dworu, gdzie zastałem w kuchni sołdatów cara, wypróżniających garnki, a w sadzie rwali owoce i śliwki; zakrzyczałem też na nich, strasząc, że zaraz pójdę do pułkownika i poskarżę się, że rabują mnie, chociaż im kazałem dać dobrowolnie wódki i strawę tę, jaką przygotowano dla czeladzi.

W kuchni sołdaci spokornieli, widząc moją czapkę urzędową wójta z kokardą carską i wspaniały turecki szlafrok i rozkazujący głos słysząc.

W tym samym czasie wszedł też do kuchni oficer i wypędził żołnierzy, a mnie dość grzecznie prosił abym posłał naprawić most przez strumyk, bo armaty nie mogą się przedostać tamże. Oświadczyłem, że nie mam zaraz pod ręką robotników, ani materyału, lecz na chybił trafił mówiłem, że można objechać mostek i że poślę parobka, który pokaże miejsce do przejazdu armat możebne. Oficer, widząc mój negliż, bladość twarzy i rękę, lewą założoną za poły szlafroka, rozpoczął mi się pilnie i uważnie przypatrywać, lecz w tej chwili stanęła przedemną prosta wieśniaczka i, tytułując mnie panem rządzcą, zapytała, co ma gotować dla ludzi i czeladzi, kiedy Moskale wszystko zjedli. Zawstydzony zapewne tą prostą definicyą o Moskalach pan oficer, wyszedłszy z kuchni i krzycząc na stupajków, aby powracali do szeregów, podążył do armat, a za nim gumienny, aby mu pokazać bezpieczny przejazd przez strumień. Jeszcze zjawił się posłaniec od pułkownika Adruszewicza, renegata, z oświadczeniem, że na śniadanie nie może przybyć, lecz prosi o mleko i bułki, co też posłano mu i w ten sposób pozbyliśmy się wizyty i tak niespodziewanych i niebezpiecznych gości.

Wkrótce Moskale wyruszyli ze wsi, zabrawszy dwie podwody dworskie i kilka od włościan; lecz zaledwie uszli po za wieś i chować się zaczęli w las, stawił się pokornie z odkrytą głową przedemną wieśniak,

sołtys tej gminy i oświadczył, że podwoda czeka na drodze w lesie za dworem i mogę zaraz uchodzić; lecz on, wiedząc kto jestem i widząc mnie tak ciężko rannym, prosił mnie, abym pozostał we dworze, aż dziedzic nie przyjedzie, a on ręczy, że Moskale nie powrócą, i że obstawił wartami tak całą wieś, że nimby kozaki przyśli, to jeszcze zdążę uciec w lasek za olszyny, położony za dworem, gdzie mnie nie znajdą, a gajowi gąszczami odprowadzą w miejsce bezpieczne. Ta zacność i szczerość, malująca się na twarzy tego wieśniaka i całe zachowanie się ludzi podczas bytności Moskali, upewniły mnie, że mogę czuć się bezpiecznym w gronie takiego ludu i od tej też chwili poprzysięgłem kochać lud i dla dobra jego pracować. Przekonałem się też, że w chatach mieszczą się też dziewicze cnoty, i że te z czasem wydźwigną Ojczyznę z biedy i niedoli, bo lud, stawszy się obywatelem kraju i zakosztowawszy dobrobytu, do oświaty dążyć będzie, z oświatą zaś zrodzi się w ludzie poznanie prawdy, godność narodowa i gorąca chęć do wolności.

Niezadługo też powrócił adjutant, Zdzisław Dąbrowski, z Olszyny, do dworu; doktór zaś odżył na nowo, wziął się do opatrzenia ran moich, które się zaogniły i sprawiały mi ból niezmierny, a z nim febra i gorączka nastała; włościanie zaś obstawili wieś strażami i czuwali nad bezpieczeństwem mej osoby. Po południu przybył też dziedzic i zaraz zajął się dostarczaniem nam wygód; słysząc zaś, jak jego słudzy i włościanie zachowali się, dziękował im serdecznie i oświadczył, że grunta upra-

wiane przez włościan oddaje na zupełną ich własność bez żadnego wynagrodzenia lub płacenia czynszów; czeladzi zaś darował całoroczne zasługi. Zacny też to był pan i od dawien dawna wraz z swą zacną małżonką pracowali w ludzie i po ojcowsku z nim się obchodzili; owoce zaś ich pracy uwidoczniły się tak jasno w 63 r., czego byłem naocznym świadkiem.

Opisałem z namysłem tak obszernie to zdarzenie, aby dać nowy dowód niedowiarkom, że lud nasz sprzyjał powstaniu i mógł być wciągnięty do walki, lecz nie umiano, lub raczej nie chciano go użyć; wina zaś tego spada na tych, którzy paraliżowali całe powstanie i nie wierzyli w siłę i patryotyzm ludu polskiego. Nie ufano mu i obawiano się rewolucyi, a chciano aby lud uwierzył w obietnice, i przelewał krew za takowe. Zapewne, że lud tam, w Brzezince, czuł do mnie więcej zaufania i sympatyi, jak do innych dowódzców, bo szeroko i daleko rozeszła się wieść pomiędzy ludem, że sprawiedliwy wobec niego byłem i że chciałem oddać mu grunta na własność zupełną. Zawsze też z miłością odzywałem się do ludu i broniłem go, o ile tylko mogłem, i nigdy w powstaniu nie ukarałem karą śmierci wieśniaka. Okazywałem mu zawsze zaufanie i szacunek i nie wstydziłem się ucałować wieśniaka, jeżeli swem postępowaniem zrównał się ze mną w okazaniu miłości do Ojczyzny. Kościuszko był moją gwiazdą przewodnią i ten zawsze był dla mnie tym świętym, któremu cześć oddawałem i ludowi o nim opowiadałem, jako o ojcu ludu polskiego.

Przez cały tydzień leżałem i leczyłem się z ran w owej wiosce, a gościnność właściciela i poczciwość tamecznego ludu dodawały mi sił i serce nadzieją napełniały, że chociaż powstanie na razie nie przyniesie nam wolności i niepodległości, to jednakże zbliży lud do surduta i do panów, a musi nadejść ta chwila, kiedy cały naród poczuje swe siły i uczuje jarzmo niedoli. Zapewne, że już w przyszłości nowe powstanie będzie przez lud podniesione głównie, i że z tych chat powstaną rycerze nowi z czystemi sercami i twardemi rękami do pracy, w chatach zaś umieszczone zostaną obrazy Kościuszki i Mickiewicza, bo jednemu Polska zawdzięczać będzie wolność ludu, a drugiemu wolność ducha, dążącego do miłości ku Ojczyźnie.

Lekarz R. nie opuszczał mnie na chwilę i stał się nie tylko dla mnie lekarzem ciała, lecz jeszcze bratem i przyjacielem, z którym daj Boże, aby dusza moja złączyć się mogła na drugim świecie.

Zacny ten dziedzic stał mi się drogim i na całe życie przyjacielem i tyle dawał mi dowodów miłości i poświęcenia, że nigdy i w kopalniach Sybiru nie opuściła mnie pamięć o nim, a w sercu zachowuje dla niego nie tylko wdzięczność, lecz całą miłość, szacunek, przyjaźń i cześć.

(„Pamiętniki" b. dowódcy dzieci warszaw. Ludwika Żychlińskiego — Poznań, 1885.)

NASTRÓJ NA LITWIE.

W Mińsku panowało podówczas najwyższe napięcie patryotyczne.

Przenikało ono nawet i warstwy niższe, spływając z wyższych pięter do suteren i skromnych, nizkich domków i wylewało się niejako przez usta łobuzów na ulice, gdzie młodzi zwłaszcza ludzie wciąż przez zgraję chłopców napastowani byli.

„A pan nie poszedł? zląkł się powstańców!“ — wołali, obskakując dokoła — „tchórz! tchórz! zajęcza skórka!“

„Pan uciekł z lasu? chowa się tutaj!“ — krzyczeli drudzy — „wstyd! wstyd!“

Trudno się było od tych ulicznikow opędzić. Ci, co istotnie woleli spać spokojnie na wygodnem łożu, niż się narażać na niebezpieczeństwa, musieli oczywiście opuszczać miasto, gdyż ataki uliczników, trafiających często w samo sedno, nieraz kompromitujące były.

Niemniej i kobiety nasze nie szczędziły ironii i złośliwych docinków tym, którzy w ich przekonaniu od ruchu narodowego uchylać się chcieli.

Doświadczyłem tego nawet na sobie, będąc zmuszony w Mińsku zabawić dni kilka. Spotkawszy bowiem znajomą mi damę, pospieszyłem do niej z eleganckim ukłonem. Ona zaś, zmierzywszy mię chłodno od stóp do głowy, rzekła z przekąsem:

„A! pan jeszcze tu?... Sądziłam... że dawno... tam!“

Trzeba się było legitymować, aby pozyskać łaskawe względy.

Kiedym wstąpił na pożegnanie do p. Czesławowej Świętorzeckiej, matki Bolesława, ta, witając mię chłodno, rzekła surowo:

„Mój syn poszedł już dawno!...“

Po tych przejściach, zdawało mi się ciągle, iż wszyscy na ulicy mierzą mię pogardliwem spojrzeniem.

Wpływ kobiet, w ten lub inny wywierany sposób, miał wielkie znaczenie i niejednego, słabszej woli młodzieńca popchnął do walki.

Miałem jechać za dni parę. Czułem, iż teraz nie wrócę tu powtórnie, więc ostatnie chwile spędzałem z narzeczoną, która, jak wszystkie Polki ówczesne, nie zatrzymywała mię wcale. A choć ciężko było rozstać się może na zawsze z ukochaną, pożegnałem ją wreszcie o północy, z zamiarem wyjechania o świcie. Lecz, gdy świt nadszedł, znalazłem się znów przed domem, w którym mieszkała. I ona stała w otwartem oknie... Wbiegłem więc na górę... W domu tym mieszkały trzy blizko mi znajome

rodziny. Wnet pouchylały się drzwi wszystkie i wszystkie panie, aż do sędziwej p. Borowskiej, wybiegły ze słowem pożegnania i błogosławieństwa na walkę za Ojczyznę. Taki był wtedy duch czasu.

Ruszyłem do Rakowa ze ściśniętem sercem. Przeczucie mówiło mi, iż ta „moja" nigdy moją nie będzie... Wkrótce jednak organizacya oddziału pochłonęła wszystkie moje osobiste bóle i sprawy. Udałem się do Lucynki Marcinkiewiczów, gdzie mi pewną okazano pomoc. Stamtąd wysłałem zaufanego mi Grudzińskiego do werbowania ludzi w Pierszajach.

Zjawiło się zaledwie kilku, a w tej liczbie felczer Władysław Trościanko, oraz Ihnatowicz, który się następnie okazał dzielnym nader żołnierzem. Stamtąd udałem się do Wiały, myśliwskiej rezydencyi hr. Tyszkiewicza, w uroczym leśnym zakątku leżącej, gdzie dostałem nieco broni, której mi brakowało. Chociaż po pierwszym werbunku wiara moja w obietnice ludzkie nieco osłabła, łudzić się jednak nie przestawałem. Pierwszy punkt zborny wyznaczony był w Michałowie, wśród lasu, nad rzeką.

Wyczekiwałem tam długie godziny na tych, co przyjść mieli. Zbierali się powoli. Wreszcie nikt nie nadchodził... Obliczyłem zebranych... Było ich tylko dwudziestu!

Miłość dla kraju, wybuchająca w słowach, stygła przy zetknięciu się z czynem. Z drobną tą siłą, a goryczą zawodu w duszy, ruszyłem wedle wskazanej marszruty ku Wyhoniczom, majętności Mi-

chała Hruświckiego,[1]) gdzie przyłączył się do nas dworski rymarz, Grzegorz Gawarowski. Stamtąd szliśmy do Duszkowa, właściciel którego, Stanisław Rempel, stanął też w naszym szeregu. Jak on, tak też i Wołodźko, idący z nami, byli oficerami armii rosyjskiej. Towarzyszył mi również brat mojej narzeczonej, oddany mi przez nią w szczególną opiekę.

Droga wiodła nas przez Czerkasy, majątek Czesławowej Świętorzeckiej, gdzie zmieniliśmy konie, wziąwszy je niby przemocą i gdzie ujawniła się pierwsza w moim oddziale dezercya. Postawiony na pikiecie szlachcic zniknął jak kamfora. Około Czerkas, w umówionym punkcie, połączyć się z nami miała partya Kojdanowska, złożona ze 100 ludzi. Miałem obowiązek wcielić ją do mego oddziału. Daremnie jednak rozglądaliśmy się na wszystkie strony!

Nigdzie ani cienia, ani śladu spodziewanego hufca. Wreszcie z poza krzaków wyłoniła się jakaś jedyna postać ludzka. Był to szlachcic Downar, następnie dzielny partyzant, który ze 100 zaprzysiężonych jeden tylko znalazł się na stanowisku. Wiszący na ustach okrzyk powitania nowych towarzyszy zamarł, przechodząc w kurcz gorzkiej ironii. Zawód ten osłabił ducha w moim oddziale.

W pochodzie w stronę Mińska, ku Przylukom, spotkała nas przygoda, która przyczyniła dużo strachu i śmiechu.

---

[1]) Znanego muzyka i najzacniejszego ziemianina.

Natknęliśmy się na kozaków, którzy się w pogoń za nami rzucili. Kazałem oddziałowi swemu złożyć broń do strzału, nie strzelać jednak, a tylko zmierzyć do kozactwa, wiedząc, iż dońskie watahy, wzięte na cel, zmykają zwykle, rozjuszone zaś strzałami, rzucają się do ataku. Manewr ten powiódł się i teraz, bo kozactwo wnet pierzchnęło. Uciekających dońców gonił długo nasz śmiech wesoły.

W dalszej drodze nikt już nas nie zaczepił. Chłopi, z którymi nieraz gawędziliśmy w drodze, żegnali nas życzliwie, kończąc zawsze jednem: „Niechaj Boh tamu pomahaje, chto dla nas budzie dobrym".

Przybywszy wreszcie do Cieplenia, zwróciłem się wedle instrukcyi po informacye do d-ra Józefa Piekarskiego. Przyjął on mię uprzejmie i, po krótkiej rozmowie, skierował do zaścianka Borowa, na drodze do Uzdy leżącego, zalecając, aby spotkanemu tam chłopowi krzyknąć: Ułas! co było umówionem hasłem. Gdy chłop odpowie „tak", to i do partyi Dybowskiego doprowadzi. Stało się, jak mówił.

Niedaleko zaścianka spotkaliśmy barczystego chłopa, o bystrem, przenikliwem oku i charakterystycznej twarzy. Był to właśnie ów człowiek, wskazany przez Piekarskiego, pośrednik między nim a partyą. Gdyśmy huknęli: Ułas![1]) przyglądał się nam chwilę badawczo i mrucząc: tak! hm! — tak! powitał uprzejmie, radząc zejść z wozów i odpra-

---

[1]) Imię białoruskie.

wić konie, cośmy też zaraz zrobili. Wówczas Ułas, wprowadzając nas do lasu, rzekł:

„Połóżcie się tu, na brzegu, panoczki, i czekajcie na mnie.“

Zaledwie zniknął, gdy nas zaniepokoił dzwonek pocztowy na drodze, tuż przy nas bieżącej. Jechał oficer leśny. Ponieważ, natknąwszy się na nas, mógł zdradzić, przeto, nie namyślając się długo, kazałem go aresztować. Stchórzył biedny leśniczy, lecz nie było rady.

Tymczasem wrócił Ułas, okazując pewne na widok jeńca zdziwienie, lecz nic nie mówiąc, powiódł nas wgłąb puszczy, zataczając różne kręgi i koła w celu zamaskowania prostej drogi. Po przebyciu wielu leśnych wertepów zatrzymały nas pikiety, wołając: kto idzie?

Ułas wyrzekł hasło i drzwi Sezamu otworzyły się przed nami.

Na małej polance, wśród niebotycznych drzew, gęsto podszytych młodą sośniną, leżało obozowisko powstańców.

Stałem przed Dybowskim, zwanym Zarembą.

Oddział mój, liczący około 30 ludzi, sprezentował broń przed naczelnikiem. Zlustrował go milcząc Zaremba i do obozu odesłał. Potem zwrócił się do mnie, a zadawszy kilka koniecznych pytań, rzucił nagle:

„Pewnie do sztabu zmierzasz?“

„Nie“ — odparłem — „chciałbym zostać szeregowcem.“

„Hm! hm!“ — mruczał Zaremba, patrząc mi badawczo w oczy,—„wszyscy do sztabu się cisną.“

„Chcę pozostać w szeregu“—powtórzyłem.

Nie spodziewał się widać tak skromnego żądadania. W oczach jego zagrały jakieś cieplejsze płomyki.

„Będzie i tam roboty dosyć“ — szepnął, odchodząc na stronę.

Przyjęcie oddziału mego do partyi nastąpiło po odebraniu od nas przysięgi „na pałasz“. Był to ceremoniał rzewny a uroczysty, który na szary tłum zwłaszcza wywierał głębokie wrażenie. Do oddziału, stojącego pod bronią, wychodził na czele plutonu naczelnik z pałaszem w ręku. Z oddziału zaś występowali kolejno wszyscy, zbliżali się do naczelnika, a przyklękając i całując pałasz, przysięgali na śmierć i życie, iż sprawy narodowej bronić będą do ostatniego tchnienia. Każdemu po złożonej przysiędze, towarzysze broń prezentowali.

Po dopełnieniu tego obrzędu, oddział mój został do partyi wcielony.

Rozejrzałem się po obozowisku. Mogło ono liczyć około 70 ludzi zaledwie.

Uderzała tu różnorodność typów ludzkich, młodych przeważnie. Wykwintne postacie paniczów, o białych czołach i delikatnych dłoniach, mieszały się z ogorzałemi twarzami dzieci ludu, o niezgrabnych, ciężkich ruchach i grubych, spracowanych rękach.

Zaraz też potem rozdano nam furaż na trzy dni, co się nie podobało niektórym paniczykom. W tem zbiorowisku ludzi, nienawykłych jeszcze do niewygód i karności, musiały być jednostki, w których

piersiach wzbierały czasem pewne bunty, lecz powoli ulegały i one rygorom i dyscyplinie, panującej w partyi.

Zaremba, uchodzący za doskonałego partyzanta, był surowy i despotyczny. W milczącym, ponurym tym człowieku, o niezwykłej sile woli, czuć było moc i władzę. Tak się przynajmniej nam wszystkim wydawało. To właśnie utrzymywało w karbach wszystkie niesforne żywioły partyi. Odznaczała się ona następnie niepospolitą karnością. Każde słowo naczelnika było zawsze rozkazem. W marszach, jakie odbywaliśmy, wyuczył nas chodzić tak cicho po mchach leśnych, iż nigdy żadna gałązka nie chrupnęła pod nogą, żadna stopa ludzka nie wydała szelestu. W pochodach kaszel był wzbroniony. Wszystkie więc piersi umiały stłumić najsilniejsze jego wybuchy. Żadne chrząknięcie nie mąciło ciszy, wśród której snuliśmy się, jak cienie.

W czasie obozowania i wypoczynku, Zaremba usuwał się zwykle na stronę, a, rozłożywszy przed sobą mapę, badał ją i kreślił. Odpoczywał zwykle nader krótko, często w postawie siedzącej, czuwając nawet we śnie nad wszystkiem. Oprócz koniecznych słów, nie mówił nigdy nic do nikogo. Nawet konferencye ze sztabem bywały zawsze krótkie i lakoniczne. Nie odzywał się, gdy wstawał do nowego z partyą pochodu. Zamiast słów z ust jego wyrywało się długie, przeciągłe cmoknięcie. Słyszę je dziś jeszcze... Budziło ono nawet śpiących. Na to hasło zrywali się wszyscy i za wodzem ruszali. Takim był Paweł Dybowski, zwany Zarembą.

Wkrótce zapoznaliśmy się ze wszystkimi towarzyszami naszymi w obozie. Partya Dybowskiego była bardzo drobna. Liczyła zaledwie 69 ludzi, podzielonych na dwa plutony. Dowodzili nimi oficerowie generalnego sztabu, Ruszczyc i „Harap“. Pod ostatnim pseudonimem ukrywał się Rossyanin, nie mówiący ani jednego słowa po polsku. Prawdziwe nazwisko tego człowieka pozostało dla mnie na zawsze tajemnicą.

Wkrótce naczelnik dał hasło do pochodu. Szliśmy do północy forsownym marszem po najstraszniejszych błotach i wertepach, aż zatrzymaliśmy się na bagnistej wśród lasu polance. Naczelnik, spytawszy: czy są wszyscy? — kazał się do snu układać.

Staliśmy po kostki w wodzie. Rozkaz więc ten nas zdumiał. Gdy plutonowi rozstawiali pikiety, my, skacząc z kępki na kępkę, rozmyślaliśmy: czy naczelnik z nas kpi, czy o drogę pyta? Pomimo wielkiego znużenia, nikt z nas w tem chłodnem bagnie ledz nie chciał. Nie śmiejąc pytać, zwróciliśmy oczy na Zarembę. On zaś, milcząc jak zwykle, obcinał spokojnie gałązki jodłowe i układał je w stos podłużny. Słał sobie łoże, służąc nam za przykład.

Rzuciliśmy się wnet wszyscy do tej roboty. Poczciwy Ihnatowicz pomagał mi w niej gorliwie. Wkrótce bagnista polanka usłała się szeregiem pierzyn jodłowych, na których rozłożyli się strudzeni powstańcy, kładąc się parami i okrywając jedną burką. I na tych improwizowanych łożach spaliśmy smaczniej, niż na najwykwintniejszem posłaniu.

O świcie znów się po obozie rozległo cmoknięcie, co było hasłem do wstawania. Plutonowi nawoływali do porządku. Naczelnik zaś ukląkł do pacierza rannego, a za jego przykładem cały oddział znalazł się na kolanach. Tak było następnie codzień rano i wieczorem. Zaremba brał kantyczkę i odprawiał nabożeństwo, w którem udział brali wszyscy.

Drzewa szumiały nad głowami naszemi, a chór zbudzonych ptasząt leśnych wtórował modlitwom naszym.

Otaczająca nas przyroda, niezwykła sytuacya, niepewność życia, jutra, podnosiły i rozegzaltowywały uczucia pobożne, które w owym czasie silniejsze naogół były, niż dzisiaj.

Dostawszy na śniadanie dla rozgrzania się po kieliszku wódki, ruszyliśmy w dalszą drogę. Cel jej był zawsze dla nas niewiadomy.

Ogromne ówczesne lasy prywatne, splątane w jeden nierozerwalny łańcuch, odpowiadając warunkom partyzantki, ułatwiały powstańczym oddziałom przerzucanie się z miejsca na miejsce.

Lasy Cieplenskie, czepiając się lasów Dudzickich, łączyły się, ciągnąc w kierunku Polesia Słuckiego z lasami Tołkaczewickimi, Szackimi, Gabryelowskimi, Werkalskimi i t. d.

Przez dni cztery z rzędu krążyliśmy po tych manowcach leśnych, zapadając w „wiereje“ i słuchając odgłosu trąbek moskiewskich, które za nami wciąż grały. Nieprzyjaciel urządzał na nas obławę, lecz nasi dowódcy plutonowi, rozumiejąc znaczenie

każdego dźwięku tej muzyki, wyzyskiwali je na swą korzyść.

Raz, gdy Rossyanie nie dawali nam wytchnienia, Harap, posiadający srebrną trąbkę, nie pytając o pozwolenie naczelnika, zasygnalizował w myśl echa wrogiego „do odwrotu i w rozsypkę“, a sam ze swym plutonem dał ognia do pierzchającego w panice żołdactwa. Popłoch w wojsku był taki, iż żołnierze, uciekając do Borowej, potracili w błocie buty i karabiny. Zamieszanie w rotach było straszne. Zapanował iście sądny dzień. Dowódca podejrzewał o zdradę swego trębacza i chciał go rozstrzelać.

Ale i u nas zakotłowało w obozie.

Dostało się za to Harapowi. Biedak miał się z pyszna!

Naczelnik, uniósłszy się, złajał go ostatniemi słowami wobec całego obozu, zagroził sądem polowym i karą śmierci, ale Harap, jako dzielny żołnierz, ani pisnął. Poważaniem zaś swem i posłuszeństwem dla naczelnika zjednał sobie miłość całego oddziału i rozbroił Zarembę, który mu wreszcie samowolnie urządzony figiel wrogom wybaczył.

Po tym wypadku kręciliśmy się znowu w okolicy Borowej, której mieszkańcy zaopatrywali nas w żywność i nigdy nie zdradzili.

Borowa stanowiła właściwie zaścianek chłopski, z kilku chat złożony, szczerze nam sprzyjający, jak i cała dalsza okolica, aż do Szacka.

Wobec ogólnej niechęci i nieufności włościan do powstańców był to jedyny może zakątek, gdzie

miejscowy lud białoruski szczerze i serdecznie wyciągał do nas rękę. Okolicę tę za te życzliwe dla nas manifestacye przezwano później „okolicą polską“. Lud w języku własnym nazywał ją: „polskaja starana“.

Miasteczko Szack, wraz z majątkiem, zwanym Starym Szackiem, należało jeszcze podówczas do Oskierków.

Nowy Szack stanowił własność Aleksandra Puciaty, którego brat, Piotr Puciata, był dziedzicem Gabryelówki. W Tołkaczewiczach mieszkali hr. Grabowscy, a w Józefowie i Werkałach Obrąpalscy i Szystowscy.

Oprócz tego okolica zaludniona była gęsto pomniejszymi dworami.

Nie znaliśmy jednak jej prawie, błądząc wciąż wśród puszcz i trzęsawisk. Nie zbliżaliśmy się ani do dworów, ani do wiosek. Zrazu odczytywaliśmy manifesty Rządu Narodowego, lecz później daliśmy temu pokój. Jakkolwiek, przejęci duchem karności i posłuszeństwa, usuwaliśmy starannie z ust i myśli wszelką krytykę postępowania Zaremby, wydawało się nam ono często dziwnem i niepojętem. Dziś, gdy z dalekiej perspektywy na człowieka tego patrzę, choć pamięć jego, jako wodza, zawsze szanuję, partyzanckiej jego taktyki pojąć nie mogę. Starannie bowiem unikał wszelkich kroków zaczepnych, zasadzek, podstępów, płoszenia i skubania nieprzyjaciela. Czynność nasza przez kilka miesięcy polegała na zręcznem wywijaniu się z rąk osaczającego nas wroga. Oszczędzało to oczywiście słabe

siły nasze, lecz nie dawało żadnych pozytywnych rezultatów dla sprawy narodowej.

Bezczynność oddziałów partyzanckich w początkach powstania ośmieliła przerażone zrazu nieznaną siłą ruchu władze, dając im czas i możność ściągnięcia większej liczby wojska. Wojsko zaś to, truchlejąc w początkach na widok powstańców, o których niezwalczonem męstwie i czarodziejskich siłach, jak też o olbrzymich siejących śmierć kosach, nasłuchało się przesadnych opowiadań, wobec bezczynności wielu partyzanckich oddziałów stopniowo nabierało odwagi. Powstanie nasze nie umiało skorzystać z chwil pierwszych. Potem już, wobec przeważającej siły lepiej uzbrojonego wroga, nic zrobić nie mogło.

Dowódcy nasi, znając ten stan rzeczy, unikali niewątpliwie bezpłodnego krwi przelewu. Bronili nas od śmierci i zagłady. Może ku temu skłaniały się tajemne instrukcye?

Powstanie było słabe, bo z nami nie szedł lud.— Mogliśmy go wziąć nie za pomocą słów, manifestów i obietnic, lecz realnem przeświadczeniem o naszej sile. Pobicie nieprzyjaciół raz, drugi, skłoniłoby niewątpliwie pewną część ludu ku naszej stronie. Cechą Białorusów jest sprzyjanie mocniejszemu.

Doświadczyliśmy tego w pewnym stopniu na sobie w Borowej, gdzie sympatye dla nas stygły w miarę ujawniającej się naszej słabości i zawiedzionych na nas nadziei.

(Zofja Kowalewska — „Ze wspomnień wygnańca z r. 1863 Apolin. Świętorzeckiego" — Wilno, 1911.)

W BOHUSZEWICKICH LASACH

Partya Świętorzeckiego, licząca 350 — 400 ludzi, acz się lokowała w lasach Bohuszewickich, ukazywała się często koło Iwanowska, gm. Szewicza, to znów była pod Ihumeniem, pojawiała około Jakszyc, przerzucała przez Berezynę, wracała, ginąc w głębiach niedostępnej dla wrogów puszczy Bohuszewickiej. Budziła wszędzie postrach wśród nieprzyjaciół oraz przesadne wyobrażenie o sile swojej. Zwycięskie jej wyprawy stały się głośne. Rozpowiadano o nich szeroko; przechodząc zaś z ust do ust, rosły i potęgowały się niepomiernie. Żołdactwo święcie wierzyło, iż nie bronią a męstwem, lecz czarami powstańcy walczą, co jeszcze większą panikę wzbudzało.

Do obozu naszego dolatywały o tem mętne wprawdzie, lecz rozgrzewające serca wieści. Większość oddziału pałała chęcią połączenia się z tym ruchliwym a zwycięskim hufcem ihumeńskim.

Smutny odwrót z pod Skryla wciąż nas jeszcze przygnębiał. Duch w oddziale słabł w tej bezczynności i bezmyślnej włóczędze. Czuliśmy, iż coś się dzieje nie tak, jak się dziać powinno. Szliśmy do powstania pełni zapału, żądni walki i czynu, gotowi na wszystko. Wprawdzie pod Skrylem na odgłos pierwszych strzałów część naszego oddziału pierzchnęła, lecz przyznać trzeba, iż ta nawet część, złożona przeważnie z masy ludowej, pełną była uczuć miłości i poświęcenia, lecz, niewyćwiczona w sztuce wojennej i w boju niezahartowana, uległa—silniejszej nad nią — panice. Tymczasem siły nasze duchowe i fizyczne, niezużytkowane do czynów konkretnych, do celów, które, jak się nam wówczas zdawało, stały przed nami, martwiały bezowocnie w błocie i głodzie. Dziś inaczej nieco na tę rzecz patrzę, wówczas jednak pewne bunty rodziły się w piersiach i świdrowały coraz silniej w mózgach.

Czuliśmy się zaniedbani, rzuceni na igraszkę losu. Była to niewątpliwie chwila, gdy w Mińsku rozgrywał się przed smutnym epilogiem drugi akt dramatu powstaniowego: zmiana władz cywilnych i wejście do organizacyi nowych żywiołów, o czem do lasów Ciepleńskich nie doleciało było jeszcze żadne echo.

W samą więc porę przybył Montegrandi z rozkazem powtórzenia wyprawy do lasów Bohuszewickich w celu połączenia się z partyą Swiętorzeckiego. Cały się obóz ożywił i rozruszał. Dowódcy tylko nasi, nie bardzo ufając słowom przybyłego a nieznanego wcale delegata, wobec jawnych niebezpie-

czeństw tej raz już podejmowanej próby wahali się nieco. Wreszcie decyzya zapadła i zaczęliśmy się szykować do wymarszu.

Sztabu żadnego nie mieliśmy. Oficerowie stali w szeregach. Ruszczyc był naczelnikiem jednego plutonu oraz całej partyi, Harap stał na czele drugiego. Wszyscy byli na jednych prawach. Warty nie odbywali i na pikietach nie stali. Dostawszy z Borowej nowego przewodnika, ruszyliśmy w drogę.

Wszystkie punkty i przejścia były już obsadzone wojskiem. Rozstawione były wszędzie pułapki w celu osaczenia partyi Laskowskiego, przeszkodzenia ujściu jej oddziałów lub wzmocnieniu jej sił wskutek przypływu nowych.

Dobiegły już do nas wieści, iż Laskowski ufortyfikował się znakomicie w puszczy Bohuszewickiej, której „mateczniki“ ku temu doskonale się nadawały. Powstańcy, badając... „puszcz litewskich przepastne krainy“, znaleźli w nich naturalne a silne okopy z olbrzymich kloców i wywrotni, zwalonych bezładnie jedne na drugie, a tworzących obronne wały. Przy niewielkiej pomocy ręki ludzkiej utworzyła się fórteczka, opasana trójkątnie „zasiekami“ i „zawałami“ leśnemi. Po sękatych i rozłożystych pniach i gałęziach wiła się gęsto różna roślinność, czerpiąca życie wśród próchniejących trupów. Barykady te, piętrzące się wysoko w malowniczym nieładzie, przypominały pierwotne okopy ludów słowiańskich i niełatwe były do zdobycia. Bagna leśne służyły za naturalną fosę, niemniej krępującą śmiałość ruchów nieprzyjaciela.

Do warowni tej, w której spokojnie siedział chwilowo wódz naczelny, dano znać o przejeździe generała wojsk rosyjskich, Zabołockiego, traktem, wiodącym z Mińska do Bobrujska. Miano na niego chrapkę oddawna, bo generał ów już z Warszawy wywiózł pewne na sobie piętno.

Laskowski wnet dał hasło do zasadzki. Wysławszy kilkudziesięciu ludzi na drogę, oczekiwał w obozie generała żywego lub martwego.

Zaledwie powstańcy ukryli się w krzakach przydrożnych, gdy na gościńcu ukazała się kareta, otoczona niedużą eskortą, a waląca prosto ku powstańcom.

Zatrzymać ją, obezwładnić eskortujących żołnierzy wraz z całą świtą i zaaresztować generała — było dziełem paru minut. Padło zaledwie kilka strzałów. Dowodzący oddziałem, wysłanym na zasadzkę, znalazł się na stopniach karety, pragnąc rozbroić generała i zachęcić do wyjścia z powozu. Ale stary wojak odezwał się:

„Bierzcie mnie, ale z bronią w ręku!“

Po zabraniu wszystkich papierów generał został zaprowadzony do Laskowskiego, który wyszedł na jego spotkanie. Gdy jednak nań rzucił okiem, postrzegł nieodżałowaną omyłkę.

W miejsce Zabołockiego stał przed nim znajomy mu z Petersburga gen. Brandt. Okazało się, iż to on właśnie komenderowany był do Bobrujska w celu rewizyi wojskowej.

Laskowski, zaręczywszy się słowem honoru generała rosyjskiego, iż go nie zdradzi, pokazał mu

zbrojną siłę swoją. Oddziały powstańcze salutowały generała i odbyły przed nim — manewry. Brandt uderzony został wyćwiczonym w szkole Laskowskiego żołnierzem, mówiąc głośno, iż to, co widział, przeszło jego wyobrażenie, jakie dotąd miał o sile ruchu powstaniowego. Laskowski, wziąwszy raz jeszcze słowo od Brandta, iż wojsk na niego nie wyśle wcześniej, niż we 24 godziny, puścił go wolno...

Gdy jednak pocztylion, wiozący generała, zawróciwszy do Ihumenia w ucieczce od powstańców, opowiedział o zaszłej katastrofie z Brandtem, wnet wysłano mu na pomoc kilka rot żołnierzy. Spotkały się one jednak z wracającym pieszo generałem, który je zawrócił napowrót do Ihumenia. Przybywszy zaś tam, Brandt oświadczył, iż miejscowe siły są za słabe do walki z Laskowskim i że trzeba zawezwać więcej znacznie wojska. Powołano więc na tę wyprawę pułki z Bobrujska. Z Mińska wystąpił sam Zabołocki, a z Borysowa gen. Rusinow.

Tak skoncentrowane wojska rosyjskie przedstawiały wielką siłę w porównaniu z partyą Laskowskiego i całą tą siłą uderzyły na Bohuszewickie lasy, opasując je ciasną obręczą. Generałowie nie wątpili, iż powstańców pojmą żywcem, jak zwierza w sieci. Żołnierze szli ze strachem. Czary Świętorzeckiego, o których głośna kursowała fama, siały większą panikę, niż kule. Roty zbliżały się ostrożnie do zasieków i okopów obozowiska, którego silne fortyfikacye szturmem wziąć kazano. Wreszcie dały ognia.

Wówczas z poza barykad rozległa się salwa, kładąc trupem kilkunastu żołnierzy.

Roty cofnęły się w nieładzie, lecz na głos komendy znów się naprzód posunęły.

Powitane celnym ogniem powstańców, odskoczyły raz jeszcze, ścieląc puszczę zabitymi i rannymi.

Generalicya rosyjska wychodziła z siebie. Ataki powtarzały się raz po raz, wciąż z niefortunnym dla wojska skutkiem. Odwaga żołnierzy słabła. Skupiono więc na punkt jeden większą siłę i przypuszczono szturm energiczny.

Z za okopów ogień walił nieustannie, kładąc trupem żołnierzy.

Wreszcie po lesie rozległo się przeciągłe: hura!

Pierwsze barykady były zdobyte.

Ale poza niemi ukazały się drugie, silniej ufortyfikowane jeszcze, z poza których ogień prażył szturmujących. Znów się rozległa komenda: do ataku! Nowy szturm kosztował wojsko wiele ofiar i wysiłków. Żołnierze padali jak muchy.

Ale okopy leśne nie były murami fortecy.

Drugi wał barykad uległ przed szturmującą go siłą.

Głośne okrzyki tryumfu zamarły wobec piętrzących się przed żołdactwem nowych fortyfikacyi.

Przypuszczono więc szturm trzeci — najsilniejszy.

Generałowie zacierali ręce z radości: ogień powstańców umilkł naraz. Za ostatniemi barykadami obozowiska panowała głucha cisza.

Niebyło już wątpliwości. Powstańcy wpadli w matnię, z której nie ujdzie już żaden.

Odwaga żołnierzy rosła, przechodząc w szał zwierzęcy. Nabiegłe krwią oczy błyszczały dzikiem okrucieństwem.

Generałowie naglili do pośpiechu.

Pchnięta gwałtowną siłą ściana zwaliła się nagle, dusząc spadającymi klocami kilku bliższych śmiałków, lecz i otwierając szeroki wyłom w barykadzie.

Wstrząsły się wiekowe dęby i jodły od grzmotu: hura! który się wydarł z piersi żołnierzy.

Takiego odgłosu tryumfu i zwycięstwa nie słyszały pewnie zdobyte przez Japończyków mury Mukdenu.

Żołnierze wpadli przez wyłom do obozu, a za nimi poważnie sunęła generalicya.

Nagle... dzikie okrzyki zdławiły się i zastygły na ustach.

Wszyscy stanęli w niemem osłupieniu.

Drżały tylko echa leśne, mieszając się z krakaniem wron i kruków, zlatujących się na żer stadami.

W obozowisku powstańców nie było nikogo.

Leżało martwe i puste przed oczyma zwycięzców.

Nigdzie żadnego śladu ucieczki w popłochu, żadnej pozostawionej broni lub amunicyi.

Wojacy rosyjscy patrzali na to w milczącem zdumieniu.

Żołnierze żegnali się cichaczem i, rozglądając się trwożliwie, szeptali pacierze.

Czary były widoczne. Powstańcy siedzieli w okopach, strzelali, zabijali, otoczeni ze wszystkich stron uciec nie mogli, a... uciekli.

„Przemienili się w zające“, rzucił ktoś nieśmiało.

„Prawda!“—podchwycili inni,—„w zające. Wojujże tu z takim czortem! tfu!“...

Generalicya, sypnąwszy gradem przekleństw, zarządziła obławę.

Przetrząśnięto całą puszczę. Szukano podziemnych lochów. Zrewidowano całą okolicę. Powstańców ani śladu!

Po kilku dniach forsownych poszukiwań wojsko zawróciło na swe dawne leże, pozostawiając w okolicy jeden oddział w celu śledzenia powstańców.

Wyprawa się nie udała. Generałowie w kwaśnym humorze rozjechali się na swe stanowiska.

Laskowski był już daleko. Dokonał on słynnej w dziejach powstania litewskiego rejterady, nie straciwszy ani jednego człowieka, ani broni i amunicyi.

Znając doskonale puszczę, wywinął się z całą partyą niepostrzeżenie, przedarłszy się zręcznie przez łańcuch wojska, którem prawdopodobnie tyły słabiej były obsadzone. Wedle ówczesnych wersyi, szybkim marszem przerzucił się za Berezynę i, gdy go tu szukano, był już w Borysowskiem, ukazał się około Świętego Jeziora i znów zapadł się w głębie leśne, które go do późnej jesieni tuliły.

Partya Laskowskiego ani razu nie była rozbitą albo rozproszoną. W myśl Rządu Narodowego, który, podtrzymując powstanie na Białej Rusi, chciał może tym ruchem polskim wskazać ościennym mocarstwom granice kraju, walczącego o wolność, partya ta przetrwała do końca i dopiero, gdy na-

dzieje obcej interwencyi zupełnie zgasły, rozwiązała się już w czasie mrozów, poniósłszy, dzięki niepospolitym zdolnościom Laskowskiego, mniej może ofiar w ludziach, niż inne.

Wielu powstańców tej partyi tułało się po jej rozwiązaniu przez całą zimę, kryjąc się po lasach lub u dobrych ludzi, we dworkach, zaściankach, a nawet chatach włościańskich. Jedni, korzystając z ogłoszonego manifestu, zdawali się następnie sami władzom, drudzy przemycali się zagranicę. Wielkie usługi w przewożeniu i ukrywaniu powstańców oddały kobiety. Słyszałem o pewnej staruszce z okolic Szacka, jeśli się nie mylę, p. Jurkiewiczowej, która w swej starożytnej landarze, w rozmaitem przebraniu się, już to jako garderobianej, już to jako liberyowanego hajduka, wielu powstańców do bezpiecznych a pożądanych punktów dostawiła.

Jeszcze na wiosnę roku następnego niektórzy wyczerpani już niemal zupełnie tułacze zjawili się do władz, składając zardzewiałą broń i zdając się na łaskę. Wedle brzmienia manifestu dotykała ich wówczas znacznie lżejsza kara. Wielu po przeprowadzonem śledztwie wypuszczano na wolność, ale znaczny procent poszedł na wygnanie do Rosyi, do mniej oddalonych gubernii. Większość zdających się dobrowolnie zdołała uratować swe mienie.

Legenda o przemianie w puszczy Bohuszewickiej powstańców w zające, wyleciawszy jak mucha z ust zabobonnych żołnierzy, powoli urosła do rozmiarów

wołu. Opowiadano o tem wszędzie z różnymi dodatkami.

Dotąd jeszcze w okolicy byłych Bohuszewic lud święcie wierzy, iż Bolesław Świętorzecki, którego pamięć nie wygasła — był czarnoksiężnikiem.

(Zofja Kowalewska — „Ze wspomnień wygnańca z r. 1863 Apolin. Świętorzeckiego“ — Wilno, 1911.)

OCHOTNICY na STRACEŃCÓW

Oddział powstańczy Habicha posuwał się w dusznym skwarze sierpniowego popołudnia drogą od Wolbromia do Ojcowa. Zbliżał się właśnie do Glonowa, gdy przednia straż ostrzegła go, że z lasu wychylają się kolumny Moskali. Był to silny oddział pod dowództwem ks. Szachowskiego, liczący blizko $1\frac{1}{2}$ tysiąca piechoty, 500 kawaleryi i 2 sotnie Kozaków.

Habich rozejrzał się ze smutkiem po swoich szeregach. Były szczupłe i licho uzbrojone. Twarz dowódzcy zasępiła się ciężką troską. Nagle odwrócił się do nieruchomych zamarłych w oczekiwaniu szeregów powstańczych:

„Bracia! zawołał—potrzebuję 10 ochotników. Zostaną oni w Glonowie, aby powstrzymać Moskali i będą w 10 opierać się całej ich sile do ostatniego tchnienia, a tymczasem reszta oddziału schroni się do lasu“.

Umilkł na chwilę, wodząc bystremi oczyma po twarzach powstańców. Szeregi zakołysały się nieco, jakby przeleciał po nich wicher mroźnej śmierci i skamieniały znowu w oczekiwaniu i ciszy.

„Kto na ochotnika?“ — „Ja“ — odezwało się grzmotem 300 piersi, cały oddział rzucił się naprzód potrząsając karabinami i kosami.

Roziskrzyły się oczy Habicha. „Niech żyje Polska“, zakrzyknął pełną piersią, a po szeregach przeleciał długo nie milknący, jak grom mocny okrzyk: „Niech żyje Polska!“

Z szeregów wysunął się Krukowiecki, syn smutnej pamięci jenerała z r. 1831 i, prezentujac broń, rzekł: „Pozwól mi pójść, naczelniku!“

„Dobrze! obejmiesz dowództwo nad całą dziesiątką“.

Wybrano 10 najlepszych strzelców i szczupła garstka rzuciła się biegiem w stronę Głonowa, żegnana okrzykami pozostałych towarzyszów.

Piętrowy, murowany dwór głonowski, zwrócony frontem do drogi, którą Moskale mieli nadejść, stał zupełnie opuszczony, mieszkańcy znać uciekli przed grozą wojny.

Był to dogodny punkt obrony dla powstańców. Zatarasowano mocne żelazem okute drzwi; powstańcy ustawili się koło okien. Krukowiecki, słynny w całym oddziele jako najlepszy strzelec, kazał 2 szeregowcom stanąć za sobą i nabijać wystrzelone karabiny.

Wśród powstańców zapanowało milczenie wytężonego oczekiwania. — Ostrożnie i zwolna poczęli

wsuwać się przez bramę kozacy. Rozglądali się podejrzliwie dokoła; ich małe, skośne oczka latały niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza. Dwóch powstańców podniosło karabiny do ramienia, Krukowiecki wstrzymał ich skinieniem ręki.

„Szkoda prochu na to paskudztwo — szepnął pogardliwie. Kozacy myszkowali po podwórzu, potem wybiegli na gościniec. Za chwilę doleciały z oddala ich dzikie, nieludzkie wrzaski.

„Spostrzegli naszych“, domyślili się powstańcy. Raz jeszcze obejrzeli karabiny i ładownice, zdala słychać już było głuchy łoskot zbliżającej się piechoty i jazdy moskiewskiej.

Pierwsze szeregi piechoty nieprzyjacielskiej weszły na podwórze spokojnym, miarowym krokiem, jak na mustrze. Powstańcy podnieśli karabiny, ten i ów przeżegnał się szybko. Pal! zakomenderował półgłosem Krukowiecki. Huknęły strzały. Jak piorunem rażony zwalił się z konia jadący przodem oficer. Kilku żołnierzy wypuściło z rąk karabiny i z jękiem padło na ziemię; przednie szeregi skłębiły się na chwilę, poczem z rykiem szalonej trwogi poczęły rozsypywać się po podwórzu, tłoczyć się na napierających z tyłu. Strzały powstańców padły tak niespodziewanie, że w całym oddziale moskiewskim zapanował na chwilę zamęt; odezwały się krzyki komendy, oficerowie poczęli płazować cofających się żołnierzy.

Uśmiech tryumfu rozświetlił twarze powstańców. „Damy wam bobu!“, szepnął któryś. Zagrzmiała druga salwa. Moskale cofnęli się z podwórza, uno-

sząc rannych. Opamiętali się jednak rychło. Poczęli obchodzić dwór dookoła, obsypując go zdala gradem kul karabinowych. Potem z wrzaskiem rzucili się do szturmu; ziemia zajęczała pod ciężkiemi stopami żołdaków. Z okien dworu huknęły strzały—dziesięciu najbliższych legło trupem. Krukowiecki chwytał raz po raz karabin z rąk stojących za nim powstańców, nieprzerwanym ciągiem padały z rąk jego strzały, a każdy śmiertelny, rażący najbliższych, najbardziej natarczywych, wydzierający z moskiewskich szeregów oficerów i starszyznę. Kilka pierwszych szeregów biegnących do szturmu Moskali legło pokotem; inni zatrzymali się na chwilę, potem poczęli cofać się i uciekać. Szturm powtórzył się jeszcze raz, drugi i trzeci. Ale żołdactwo szło już do szturmu coraz niechętniej, coraz większą trwogą napełniały ich te milczące mury domu, z którego okien wychylały się lufy karabinów, patrzące na napastników ciemnem okiem niechybnej śmierci.

Po trzecim szturmie nastąpiła długa cisza.

Z okien dworu widać było, że większa połowa piechoty moskiewskiej z całą kawaleryą i kozakami poszła w pogoń za oddziałem Habicha.

„Bądź co bądź nasi już uszli kawał drogi“, pocieszali się oblężeni, kontenci, że nie darmo oddadzą życie.

Nagle uwagę ich zwrócił jakiś dziwny szum, trzask, potem huk coraz potężniejszy, rozlegający się z góry od dachu.

„Podpalili nas“, wykrzyknął któryś; widmo strasznych męczarni konania w zaduchu dymu, wśród żrących płomieni stanęło przed powstańcami.

Moskale zawyli radośnie i zwartem półkolem zbliżać się poczęli do domu. Z szeregu ich wystąpił oficer i, powiewając białą chustką, zawołał: „Polacy! wzywam was, poddajcie się. Za chwilę zginiecie w płomieniach. Nie będę mścił się na was za tylu zabitych żołnierzy. Oddacie mi tylko waszą broń, a car najmiłościwszy rozporządzi o waszym losie. Powtarzam, za chwilę zginiecie".

Powstańcy milcząc wysłuchali tej przemowy. Krukowiecki wychylił się oknem: „Polak umiera, ale nie poddaje się nigdy", odpowiedział krótko i trwało. W tejże chwili z szeregów moskiewskich padł strzał. Kula zdarła kaszkiet Krukowieckiemu. „Zdrajcy!", syknął Krukowiecki, podnosząc karabin do ramienia. Żołnierz moskiewski zachwiał się i runął, wypuszczając z rąk karabin. Huknęły znowu strzały gęstą, nieustającą salwą, żołdactwo nacierało coraz bliżej, strzały powstańców, choć zawsze śmiertelne, były coraz rzadsze.

Brakło im naboi.

Strzelał już tylko Krukowiecki, ilekroć wiatr odgarnął kłęby dymu zasłaniające Moskali.

Jeden z powstańców wyjął książkę do nabożeństwa i począł odmawiać litanię za konających. Słowa modlitwy rozległy się ponuro przy huku karabinów wśród syku i trzasku płonącego dachu. Cały oddział powtarzał głosem uroczystym, spokojnym: „Zmiłuj się nad nami, Panie". Potem ze wszystkich piersi wypłynęła pieśń, którą lud wiejski śpiewa na pogrzebach: „O Jezu mój! o Jezu mój! gdy będę w ciężkościach, sam przy mnie stój!" Na

pogrzebie własnym śpiewali powstańcy, czerwone iskry zaczęły już im sypać się na głowy.

Karabiny moskiewskie umilkły. Zdawało się, że ten śpiew pogrzebowy zaczarował napastników, że nie chcą mącić ostatniej chwili życia ginących, że pozwalają im umrzeć spokojnie, choć straszną śmiercią w płomieniach i dymie.

Krukowiecki również przestał strzelać, śpiewał z innymi. „Co to?“ zawołał nagle, jakby się ocknął z letargu. — „Moskale uciekają. — Czy odsiecz?“

Powstańcy pędem zbiegli na dół.

Podwórze było puste. Wśród zmroku zapadającego wieczora czerniały tylko trupy, porzucone tornistry, kociołki. W ciszy wieczornej słychać było tylko westchnienia konających, huk płomieni, trzask walącego się wiązania dachu.

Nie widać napastników, ale też odsieczy ni śladu.

Z poza węgła stodoły wysunął się ostrożnie jakiś cień i zbliżył się zwolna ku powstańcom.

„Kto tam?“ zapytał Krukowiecki.

„To ja, Grzymała, karbowy?“—odezwał się głos nieśmiały. Z pomroku wychyliła się płowa czupryna chłopa, w oczach jego błyskały promyki chytrej radości.

„Nie wiecie dlaczego Moskale uciekli?“ zagadnął Krukowiecki. „Nie było tu nijakich powstańców“, uśmiechnął się Grzymała. „Ja tak jeno zwiodłem rusków. Patrzę, że te juchy usadziły się na panów a tu dwór cały w ogniu—myślę ja sobie—poczekojta. Tak lecę do starszego i godam. Jaśnie W. Panie Generale, tam od lasu okrutna siła Polaków wali“.

„No, a gdzież ci Polacy?“ przerwał Krukowiecki. „A od lasu rychtyk wielga siła wali“ — kończył Grzymała — „tylko, że nie powstańców, jeno owiec i bydła, a kurzawa ci taka była zdala, jakby z tysiąc ułanów gnało“. Powstańcy huknęli śmiechem, aż się echo na podwórzu rozległo.

Zapomnieli, że przed chwilą dysponowali się na śmierć; śmiali się długo i serdecznie z konceptu chytrego chłopa i z tchórzliwości Moskali. „Ale tęgo ich panowie pokruszyli“ — dziwił się Grzymała, obchodząc pobojowisko.

Przeliczono trupy, było ich 60 i kilka, z tych blizko połowa legła pod oknem, z którego strzelał Krukowiecki.

(„Urywki z pamiętników o powstaniu z r. 1863“ — Zofja Szybalska według rękopisu Nowińskiego — Lwów, 1913.)

WIELKA-NOC POWSTAŃCÓW.

Na zawrotnej wyżynie szafiru niebios srebrne oczka gwiazd powolnie mrużyły powieki, od wschodu ukazują się seledynowe smugi, noc prawie, a jednak coś drży w powietrzu, coś, co zapowiada tryumf światła nad ciemnością, życia nad śmiercią.

Polana niewielka, otoczona wieńcem borów, w dali wioseczka, Samogoszcz, a wśród niej kościołek, z którego okien i drzwi otwartych na oścież, buchają snopy świateł gorejących. Po polanie płyną srebrne dźwięki sygnaturki, które budzą dziwne, cudne echa w czarnych, wielkich borach.

Świątynia Pańska z modrzewiu, poczerniałego wiekami, maleńka, pomieścić nie może wiernych, niosących swe bóle i męki do stóp czarnego krzyża, który błagalne ramiona wyciąga ponad ich głowy u stropu wielkiego ołtarza.

Kapłan, siwowłosy staruszek (kanonik Wojno), w złocistych pontyfikalnych szatach, zanosi modły do Pana nad Pany, aby dziś w Noc-Wielką, w dzień Zmartwychwstania Pańskiego, Wszechmocny dał zmartwychwstanie ukochanej Ojczyźnie.

I magiczne, drżące słowa staruszka kapłana płyną po świątyni:

„Alleluja!... Chrystus zmartwychwstał... Alleluja!“...

— — — — — — — — — — — — —

Wtem szmer powstaje w drzwiach głównych, zbita fala ludu rozsuwa się na dwie strony z czcią prawie, robiąc miejsce nowo przybyłym.

Ich świtki szare, zielono szamerowane, kołnierze czarne, barankowe i takież wyłogi u rękawów, niewiele odbijają od szarych siermięg wieśniaczych, a jednak jest coś, co ich wyróżnia, prócz pełnego uzbrojenia i czerwonych krakusek z orzełkiem i trójbarwną kokardą, od tego szarego tłumu, coś, co otacza ich skronie auerolą męczeńską, bo każdy z nich, jako z gwardyi narodowej, ma z góry wyrok śmierci podpisany u wroga.

Święta ofiara ma się ku końcowi, złote promienie słońca zalewają świątynię, siwowłosy kapłan, otulony mgłą jedwabi, unosi w górę hostyę promienistą, błogosławiąc wiernych, a szczególniej tę garstkę bohaterów, na którą z rozrzewnieniem przez łzy spogląda.

Dym kadzideł napełnia świątynię, o wiekowe ściany z modrzewiu uderza pieśń wielka, potężna jak huragan:

„Święty Boże, święty mocny,
święty a nieśmiertelny
Zmiłuj się nad nami!...“

— — — — — — — — — — — — —

Pieśń prosi, błaga, zamienia się w łkanie ze słowy:

„...od wojny i niewoli
Zachowaj nas Panie!...“

— — — — — — — — — — — — —

Cmentarz, okalający świątynię Pańską, napełniony pobożnymi, garstka bohaterów, na skinienie dowódcy, siada na koń, staruszek kanonik zaprasza ich w progi plebanii, choć na święcone jajko.

„Nie mogę, nie mogę“, — broni się dowódca — „wyższy rozkaz powołuje nas gdzieindziej, nie mam chwili do stracenia.“

„Ojcze“ — rzekł w końcu, pochylając głowę — „błogosław nas na drogę życia i śmierci, — kto wie, to może nasza ostatnia Wielkanoc.“

Łzy zabłysły w oczach staruszka kapłana a drżąca dłoń jego uniosła się nad pochylonemi głowy bohaterów.

Wieśniacy łkali, starsi błogosławili ich znakiem krzyża.

Wkrótce bohaterska drużyna zniknęła w wiekowym borze, którego odradzające się gałązki, wtórując chórowi ptasząt, szemrały:

„Alleluja... Alleluja!...“

(„Z lat nadziei i walki 1861—1864“ — Józefa Anc — Brody, 1907.)

UCIECZKA Z WIĘZIENIA.[1])

Postaram się skreślić Ci, mój drogi, w krótkości ostatnie przejścia moje, które w każdym razie są dość ciekawe.

Otóż prowadząc taką rozbójniczą wojnę, co to nigdy się pod dachem nie spało, ciepłej strawy prawie nie jadło, odzienia nie zmieniało, a żyło się i działało więcej po wilczemu, aniżeli po ludzku; prowadząc taką wojnę w przeciągu trzech miesięcy, zacząłem odczuwać zły wpływ tejże na moją sercową chorobę. Szczególnie szkodziły mi te częste forsowne nie marsze, a biegania, bo zazwyczaj kłusem wykonywaliśmy nasze nocne manewry. Same bitwy corps á corps, gdzie często trzeba było z dwoma i więcej przeciwnikami pasować się ciągle,

---

[1]) List wyjęty z papierów pułkownika Strusia (dr. Stella Sawicki).

powiększały moje gwałtowne bicia serca. Wiedziałem, że niedługo będę mógł takie życie prowadzić, ale nie mając nigdy najmniejszej nadziei wyjść cało z tej wojny, mało o to dbałem. Po dwunastu tygodniach jednak już zdarzyło mi się upaść bezprzytomnie w jednej z takich utarczek, ale miałem ludzi, bardzo do mnie przywiązanych, więc też wynieśli mnie z pośrodka nieprzyjaciół i ocuciłem się na rękach ich w lesie. Podobne omdlenia są dość częste w chorobach serca i zdarzały mi się jeszcze w Petersburgu. W kilka dni potem omdlałem już nie w bitwie, ale poprostu bez żadnej przyczyny w obozie. Zrozumiałem, że to się będzie powtarzać, i że nie dziś, to jutro dostanę się w ręce moskali. Ale na to nie było rady, zostałem więc dalej w obozie i wkrótce w jednej z takich nocnych utarczek ocknąłem się w ręku nieprzyjaciół. Jakkolwiek już dużo przykrych chwil przeżyłem, będąc w 12 roku życia oddanym z domu rodziców do szkoły kadeckiej w Petersburgu, lecz chwili tak przykrej jak ta, w której ocknąłem się skrępowany w rękach moskali, nie miałem jeszcze nigdy. Wśród różnych uczuć, uczucie gniewu było najmocniejsze, bo zacząłem wymyślać na żołnierzy, dlaczego mię związali. Mówiłem, iż jestem oficerem rosyjskim i że powinni mię rozstrzelać, a nie wiązać. Na krzyk mój żołnierze odpowiadali śmiechem i szturchańcami. Oficerowie powiedzieli, iż nie mają prawa pozwolić mnie rozwiązać, a tembardziej rozstrzelać bez sądu, ale kazali mnie odprowadzić do pułkownika. Pułkownik wysłał oddział ze 100 ludzi pod

dowództwem oficera, który miał mnie odprowadzić do Kowna i tam oddać w ręce Murawiewa syna. Prowadzono mię z ogromnemi ostrożnościami całe trzy dni, a choć przyjaźnie rozmawiałem z oficerem, pilnowano mnie zawsze tak ostro, że nie można było pomyśleć o ucieczce. Czwartego dnia przyszliśmy do jakiejś wioski nad Wilią o kilkanaście wiorst od Kowna. Tu oficer dowiedział się, że powstańcy krążą około miasta i lękał się iść dalej. Był to już wieczór, żołnierze zabierali się do spoczynku. Mnie odprowadzono na odwach, a oprócz odwachowej placówki, która się przechadzała po dworze, postawiono jeszcze jedną wartę przy drzwiach mojej izby, zaryglowawszy mocno okiennice. Widząc się już tak blizkim mety, pomyślałem sobie, że jeżeli dziś nie ucieknę, to nie ucieknę już wcale. Postanowiłem skorzystać więc z każdej pomyślnej chwili. Koło godziny jedenastej w nocy zmienili wartę przy moim progu. Żołnierz wszedł do mojej izby, ale, widząc mię lężącego w kącie i sądząc że śpię, — wyszedł i przymknął drzwi: przeczekałem jeszcze godzinę, potem podniosłem się cichutko i podszedłem do małego otworu w okiennicy; noc była cicha, a niezbyt ciemna; ogromne ognisko paliło sią o kilka kroków od mojej chaty i oświecało postać odwachowej placówki, przechadzającej się zwolna po podwórzu. Podszedłszy do drzwi, ujrzałem przez szparę moją wartę siedzącą w kącie i drzemiącą. Karabin jego stał obok, oparty o ścianę. Popróbowałem posunąć się dalej: drzwi nie skrzypnęły, nie było chwili do stracenia, choć serce tak

biło, iż lękałem się, żeby stuk jego nie obudził warty. Wziąłem cichutko karabin, przybliżyłem się do drzwi, które prowadziły na dwór, gdzie chodził żołnierz odwachowy i o pięć kroków wystrzeliłem do niego. Padł, ani jęknął. Na ten strzał Moskal, śpiący w kącie, zerwał się, ale także nie zdążył wyprostować się, kiedy miał cały mój bagnet w piersiach. Zajęczał i usunął się cicho na ziemię. Wyskoczyłem na dwór i dalejże w nogi, ale jakkolwiek stało się to wszystko w jednem mgnieniu oka, strzał mój jednak zbudził innych i nie zrobiłem tysiąc kroków, kiedy już usłyszałem ruch w całym oddziele. Biegłem jednak ciągle; serce coraz to mocniej biło, w głowie kręcić się zaczęło, czułem, że upadnę. Byłem nad brzegiem Wilii. Wskoczyłem do rzeki, żeby się odświeżyć. Rzeczywiście woda zimna obudziła we mnie nowe siły, chciałem dalej iść, ale spostrzegłem kilku jeźdźców moskiewskich i wlazłem znowu do wody. Ogromny krzak łoziny rozrastał się w samej wodzie, zanurzyłem się więc po samą szyję, głowę ukrywając w krzaku i tak siedziałem, myśląc, że po godzinie zaprzestaną szukać i będę mógł wyleźć. Oszukałem się jednak, bo nie tylko noc, ale i cały dzień następny moskale kręcili się ciągle koło brzegu rzeki tak, że musiałem często nurzać się zupełnie, żeby nie być odkrytym. Biorąc tę dwudziestoczterogodzinną kąpiel, która mi przyjemności nie robiła, myślałem sobie, czy warte to życie, żeby dla niego tyle się męczyć? Ale chciało się postawić na swojem. Ledwo wieczorem zobaczyłem, jak moskale przeprawili się

przez rzekę i poszli zapewne do Kowna. Nie wyłaziłem jednak, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Miałem na sobie prostą siermięgę chłopską, a w pasku pod koszulą stopięćdziesiąt rubli i zegarek złoty. Siermięgę zrzuciłem, bo była nader ciężka od wody, piasku i błota i w jednej mokrej bieliźnie, zabrawszy karabin owej zakłutej warty, poszedłem brzegiem Wilii. Doszedłem wkrótce do jakiejś wioszczyzny, wlazłem do karczmy, zbudziłem arendarza chrześcijanina i dałem mu do wyboru, albo wziąć 50 rubli za czystą bieliznę, odzienie i kawał chleba, albo mój bagnet w piersi. Wybór padł na 50 rubli. Nie tylko dostałem to, com żądał, ale jeszcze mój gospodarz koniecznie nalegał, abym się położył w jego łóżku i odpoczął. Aczkolwiek można sobie wystawić, jak byłem zmęczony, nie posunąłem jednak wiary w patryotyczne uczucia pana arendarza do takiego stopnia, żebym mu zupełnie zaufał; odziałem się więc i, gryząc mój kawałek chleba, powlokłem się dalej. Zaczęło świtać, kiedy przybyłem nad Niemen, koło Kowna; przeprawiłem się małą rybacką łódeczką na drugą stronę, wlazłem na wysoki zarośnięty brzeg, położyłem się w lasku i zasnąłem. Dobrze już było po południu, kiedym się obudził. Głowa mi pękała od bólu, febra trzęsła ciałem, gorączka paliła.

(„Księga pamiątkowa 40-lecia“.)

W NIEWOLI.

Gdyśmy wszyscy rzucili broń na ziemię, zaraz komenderujący oficer kazał nas odprowadzić na placówkę, gdzie zbierano jeńców, droga wypadła przez część lasku, więc tutaj dopiero przypomniał sobie podoficer, że potrzebaby nas zrewidować, co też rzeczywiście zaraz nastąpiło. Ile zauważyłem, nie chodziło Moskalom o znalezienie przy nas jakiej broni, lecz głównie o pieniądze lub tytoń, lecz grubo się na nas zawiedli, albowiem byliśmy jak tureccy święci i nic oprócz mego skórzanego, ale próżnego kapciucha na tytoń nie zabrali.

Przyprowadzono więc nas na placówkę, gdzieśmy zastali kilka rot wojska, a w pośrodku majora z kilku oficerami, któremu też eskorta nas oddała. Zastaliśmy przy nim kilku naszych jeńców, a co chwila przyprowadzano pojedyńczo lub po kilku świeżych. Wszedł nareszcie jakiś jeniec, na którym

Moskal ujrzał dobre buty, więc podszedł do niego i kazał mu takowe zdjąć, a gdy jeniec opierał się temu żądaniu, Moskal w tejże chwili przebił go bagnetem, a następnie jeszcze z żyjącego ściągnął sam buty i zabrał je sobie. Gdy zaś któryś z naszych jeńców zwrócił na to uwagę majora, ten na to ruszył ramionami i bardzo grzecznie odrzekł, że oni dosyć się za nami nauganiają i nadrą swoich butów, więc nawet słusznie od nas dobre buty mu się należą.

Gdy nas już ze 20-tu było zebranych, a było już pod wieczór, kazał nas major odprowadzić na folwark, jako główny punkt zborny. Zamknięto nas w stodole, otoczonej Moskalami a zapełnionej już jeńcami.

Dnia następnego kazano nam wyjść ze stodoły i wprowadzono nas w obręcz Moskali, poczem rozdano nam po miarce większej od litra moskiewskich sucharów, t. j. chleb razowy suszony w kawałkach, ale wody nie dano nam. Kilku z naszych, którzy szczęśliwym przypadkiem ocalili trochę pieniędzy, płacili Moskalom nawet po rublu za kilka łyków wody z manierki.

Gdy się Moskale sformowali w pochód, ruszyliśmy szosą do Lublina. Nocowaliśmy zdaje mi się w Krasnymstawie na podsieniach dwu zajezdnych domów, gdzie nam znowu rozdano po miarce sucharów.

Dnia 26 sierpnia ruszyliśmy dalej w pochód ku Lublinowi. Na kilka wiorst przed Lublinem wyjechał naprzeciw nas z całym sztabem jenerał-guber-

nator Chruszczew, ażeby spojrzeć na tryumfalny pochód Moskali, powitać żołnierzy: „zdorowo rebiata“ i usłyszeć ze wszystkich ust, jak na komendę: „zdrawia żełajem waszomu prewoschoditelstwu!“

Nie zatrzymując się dotarliśmy do Lublina, gdzie nas umieszczono w dawnym zamku królewskim, otoczonym naokoło moskiewskim obozem. Tu nas umieszczono po salach, tylko kilkunastu, między innemi i mnie, zamknięto w bardzo małych tak zwanych „separatkach“. Wśród jeńców znalazło się i kilku żołnierzy moskiewskich, którzy, wzięci przez nas pod Żyżynem do niewoli, pozostali u nas dobrowolnie i tych pomieszczono także gdzieś osobno.

Następnego dnia poczęto spisywać z każdego z nas zosobna protokół. Około 8 września przyprowadzono blizko 200 jeńców z oddziału Lelewela, zniesionego w nieszczęśliwej bitwie pod Batorzem. Lelewel sam zginął, a z nim większa część oficerów; zginął tam także szef sztabu, wspomniany już raz baron Walis.

Dnia 14 września wyruszyło nas 201 jeńców pod konwojem podobno 40.000-nym do Warszawy, gdzie nas czekał sąd wojenny. 19 września nocowaliśmy już w porcie Śliwickim cytadeli, następnego dnia przeprawiono nas łodziami już do samej cytadeli warszawskiej. Właśnie, gdyśmy byli na Wiśle, usłyszeliśmy dwa głośne bardzo strzały; dowiedzieliśmy się później, że to nie były strzały armatnie, tylko huk dwu bomb „Orsiniego“, rzuconych ze strychu pałacu Zamojskich na przejeżdżającego namiestnika Berga.

W cytadeli pomieszczono nas wszystkich w jednej ze sal w „starym magazynie“. Tu przesiedziałem prawie dwa tygodnie, ponieważ zaś bieliznę nosiłem bez zmiany z górą cztery miesiące, a słoma, rozścielona na podłodze do spania starła się na sieczkę i w niej rozmnożyły się miliardy robactwa, przez to robactwo i przez ciągłe drapanie się, miałem ciało strasznie poranione, więc gdy, na szczęście, przyszedł lekarz wojskowy dowiedzieć się, co się u nas dzieje, ja zwróciłem się do niego, prosząc, ażeby mi coś na to poradził. Lekarz, poczciwy jakiś Moskal, oglądnąwszy moje rany, kazał mnie zaprowadzić do szpitala, gdzie też mnie w sali pomiędzy rannymi umieszczono. W szpitalu też przebyłem cały czas śledztwa i sądu wojennego, do którego mnie zawsze dwóch żołnierzy prowadzało. Sąd wojenny, jak to było ich zwyczajem, ogłosił mi wyrok śmierci przez powieszenie, lecz wyrok ten odesłany został dla zatwierdzenia do namiestnika. Dotąd nie mogę pojąć dlaczego Moskale na 635 ludzi wziętych do niewoli pod Fajsławicami, skazali z pomiędzy wszystkich tylko kilkunastu na śmierć, a szczególnie mnie, który pomiędzy wszystkimi byłem prawie najmłodszym i niczem nadzwyczajnem nie mogłem tak bardzo Moskalom dopiec, ażeby sąd wojenny musiał mnie zasądzić aż na śmierć.

Po ogłoszeniu wyroku leżałem z łaski lekarza, choć zupełnie zdrów, jeszcze kilka tygodni w szpitalu. Dnia 25 listopada poczciwy lekarz, przy wizytacyi, wziął mnie trochę na bok i dość cichym głosem, ażeby nie wszyscy słyszeli zapytał mnie

krótko i węzłowato, czy ja mam chęć wyruszyć zaraz na Sybir, gdyż właśnie otrzymał zapytanie od władz, czy ja jestem już tyle zdrów, ażeby mnie mogli tam wysłać. Mając wciąż wiszący nad sobą wyrok śmierci, odpowiedziałem uradowany, że poczytałbym to sobie za największe szczęście, gdyby mnie w tej chwili wysłano, gdyż przestałaby mi już raz ciężyć zmora śmierci; — na to odrzekł mi tylko poczciwy lekarz z rozrzewnieniem: „charaszo".

Dnia 26 listopada po obiedzie, przyniesiono mi mój ubiór powstańczy, bardzo lekki i już zupełnie zniszczony i kazano się przebrać. Gdym to uskutecznił, odesłano mnie pod eskortą dwu żołnierzy i podoficera na odwach Aleksandrowski, gdzie mnie przyjęto i odprowadzono do sali, w której zastałem kilkunastu towarzyszów, wziętych pod Fajsławicami. Po południu wszedł jakiś kapitan moskiewski od warty dla przejrzenia nas, a gdy mnie naokoło od stóp do głowy obejrzał, zapytał bardzo uprzejmie i delikatnie, czy ja niemam jakiego innego ubrania, czy tylko to, co mam na sobie, a gdym mu oświadczył, że posiadam to tylko, co mam na sobie i co sam widzi, wyraźnie zakłopotany, pożegnawszy nas wszystkich grzecznie, odszedł.

Czułem się teraz spokojnym, a nawet szczęśliwym, o ubraniu ani myślałem, gdyż w Warszawie było jeszcze ciepło. Dnia 27 listopada, wieczorem, wszedł do nas znowu ów kapitan, zdaje mi się Mikołów, znajomy z poprzedniego dnia, za którym żołnierz wniósł tobołek. Odprawiwszy żołnierza, a sam wziąwszy ów tobołek, podszedł do mnie i wręcza-

jąc mi go prosił bardzo uprzejmie, ażebym to przyjął od niego, gdyż nawet nie mogę mieć pojęcia, jaka mnie droga czeka. Gdy podziękowałem mu o ile tylko mogłem najserdeczniej, on pożegnał nas wszystkich i wyszedł.

Po wyjściu jego, gdym rozwinął tobołek — Boże święty! oto co w nim znalazłem: Palto watowane, trochę przenoszone, ale zupełnie dobre, spodnie nowe tak zwane „ceugowe", buty także już używane ale dobre, czapkę barankową i trzy pary bielizny. Gdym do takiego majątku doszedł niespodzianie, radość moja nie miała granic.

Tu muszę dodać, że w Warszawie, zdaje mi się, były potworzone komitety, których zadaniem było zaopatrywać wysyłanych na Sybir w odzież i bieliznę, lecz tak licznie wysyłanym nie mogli nastarczyć, zależało to zresztą od sumienności adresata, komu te rzeczy zostały rozdane, co się zaś tyczy mnie osobiście, to wyjątkowo nikt nie mógł mnie zaopatrzyć w najniezbędniejszą odzież, gdyż, jak już wspomniałem, leżałem w szpitalu i wprost ze szpitala wyjechałem na Sybir.

Wieczorem, jak zwykle ułożyliśmy się spać, lecz około północy obudzono nas i kazano się prędko ze wszystkiem zebrać, co uczyniliśmy jaknajprędzej. Potem zaprowadzono nas do jakiejś sali w tym samym budynku, do której wkrótce weszło kilku wyższych oficerów, a, rozkazawszy nam uważnie słuchać, zaczęto nam czytać wyroki.

Przy odczytywaniu wyroków, o ile sobie przypominam, było około 20 osób i tak: z oddziału Wierz-

bickiego (Wagnera): Bańkowski, Gryziecki, Gliniecki, Jakowski Adolf (prawdziwy Ludwik Zielonka), Kołodziejczyk Mieczysław, Lachowski, Midowicz Ludwik, Radecki Rudolf, Szelest Roman (prawdziwy Białkowski), Szulc Adolf, Zgórek Franciszek, więcej nie przypominam sobie.

Z oddziału Ruckiego: Jost (Żost) francuz i Zaremba Jan.

Z oddziału Krysińskiego: ja, Mężyński Leonard i Raciborski Władysław.

Z oddziału Kruka: Babiński.

Z Królestwa: Broniewski, a Krasnowolski nie wiem skąd.

Wyroki po większej części opiewały po 10 a w mniejszej części po 8 lat ciężkich (katorżnych) robót do fortec we wschodniej Syberyi.

Z pomiędzy 635 jeńców, wziętych do niewoli pod Fajsławicami tylko nas kilkunastu sądzono w Warszawie, resztę po różnych miastach Rosyi. Z tych kilkunastu skazał sąd wojenny tylko kilku, między nimi i mnie, na śmierć, ale dlaczego tego sam nie wiem i nie domyślałem się nigdy przyczyny. Również i tych 8 i 10 lat katorgi otrzymaliśmy tylko my wyżej wymienieni, na 635 ludzi, reszta zaś zostali lżej zasądzeni jak: w rekruty, na życie w Rosyi, na posielenie, do rot aresztanckich; ci zaś, którzy nie mieli 16-cie lat, zostali zupełnie uwolnieni; a było ich także kilkudziesięciu.

Tu także odczytano wyrok Gudzińskiej, która była żoną urzędnika kolejowego i miała restauracyę w Warszawie. W jej mieszkaniu został zamordo-

wany niebezpieczny bardzo szpieg moskiewski. Gudzińska i jej pomocnik Kowalski, zostali zasądzeni na 20 lat katorżnych robót do rudnik, dla Kowalskiego z tym dodatkiem, że już i podróż aż na miejsce musiał odbyć zakuty w kajdany; był też już w kajdanach na sali.

Ja znalazłem się pomiędzy tymi, którzy zostali skazani na ośm lat.

Po odczytaniu wyroków wyprowadzono nas zaraz na dziedziniec, gdzie już czekał na nas odpowiedni konwój, złożony z piechoty i kozaków; kazano nam zachowywać się spokojnie i cicho ruszyliśmy na dworzec Warszawsko-Petersburgski.

Gdyśmy przeciągali ulicami Warszawy wiele bardzo okien otwierało się, skąd nas chusteczkami żegnano, a nierzadko słyszeliśmy płacz, chociaż nie zostawialiśmy nikogo z blizkich w Warszawie, gdyż oprócz Gudzińskiej i Kowalskiego, wszyscy prawie byliśmy Galicyanie.

Gdyśmy na dworzec dotarli, umieszczono nas niezwłocznie w wagonach, lecz pomimo tego zauważyliśmy dość liczną publiczność, która nas także żegnała i tu także słyszeliśmy płacze.

Wreszcie lokomotywa głosem nizkim i ponurym zagwizdała, co na mnie bardzo przygnębiające zrobiło wrażenie (ja zaś wtedy pierwszy raz jechałem koleją) i ruszyliśmy w drogę.

(„Wspomnienia z powstania styczniowego i sybirskiej katorgi 1863—1869“ — Leonard Mężyński — Tarnopol, 1910.)

ROMUALD TRAUGUTT

i jego dyktatura podczas powstania.

Podczas licznych usiłowań naszych wyjarzmiania się, zwykliśmy powtarzać słowa Pisma: „Hominem non habuimus“ — „człowieka nie mieliśmy“. W wielu razach okrzyk słusznym mienić się mógł, lecz nie zawsze. Styczniowe powstanie posiadało męża niepospolitego, cnót obywatelskich wyjątkowych, który umiał się wznieść ponad tłum i wypadki, zdołał sięgnąć okiem szerzej, niż inni i kierować całą machiną powstańczą dłonią energiczną i twardą pół roku, a więc dłużej niż trzecią część okresu walki. Mąż ten wybitny a nie zapomniany — Romuald Traugutt.

Dni lipcowe 1863 posiadały jeszcze znaczną liczbę ludzi poświęcenia. Powstanie trwało wówczas w swej mocy całej, przynajmniej w Królestwie, gdzie około 1 sierpnia liczono pod bronią we wszystkich oddziałach powstańczych 30.000 zbrojnych. Nieliczne od-

działy na Litwie rozproszone, kryjące się wśród lasów, do obliczenia były trudne; tam jednak każdy ze zbrojnych, ze względu na charakter, duch patryotyczny Litwinów, wysoce rozwinięty, ze względu na obycie się z bronią, przy upowszechnionem łowiectwie, każdy, powtarzamy, zbrojny, mógł być liczony za trzech powstańców z innych okolic Polski.

Ci strzelcy z zawodu, oswojeni od dzieciństwa ze strzelbą, z puszczą, z dzikimi ostępami, w których umieli wybornie zasadzki lub pościg czynić na grubego zwierza, ścigać go, osaczać, chronić siebie od napadu niedźwiedzia, od skoków rysia i kopyt łosia, zastosowywali teraz swoją łowiecką sztukę do partyzanckiej walki. Na żołnierza ci łowcy przekształcili się szybko, na żołnierza tem celniejszego, iż nietylko mogli, umieli działać samodzielnie, zeznawczo stawać do wykonania tych lub owych obrotów, lub forteli wojskowych, ale ożywiał ich duch bez zaprzeczenia wielki; owi ludzie, z szeregu ówczesnej, litewskiej partyzantki, odznaczyli się patryotyzmem podniosłym, bez względu, czy z bardziej czy też z mniej wykształconych warstw pochodzili; i ów duch podniosły, ów patryotyzm, czysty, niby łza, dźwignią się stawał w prywacyach, w trudach obozowych, w cięższych daleko na Litwie, niż w Koronie losach ówczesnych powstańców. Twardemi były losy ówczesnych powstańców w Królestwie Kongresowem, lecz o wiele cięższemi były prywacye i warunki trudne, z któremi się ścierał powstaniec litewski. Z tych szeregów litewskiego

powstania o hartownym duchu poświęcenia, o patryotyźmie podniosłym, a czystym niby kryształ, z tych ludzi wielkiej wiary w moc Boga, z tych szeregów gorąco miłujących ojczyznę wyszedł ten, co zdołał w chwilach najcięższych dla powstania wziąć je na swe barki, ująć rozsypującą się organizacyę w żelazne kleszcze woli i siły i sterować tą słabnącą łodzią walki do bohaterskiego końca swych dni—wyszedł mąż wybitny a niezapomniany wśród narodu — Romuald Traugutt.

Traugutta oddział, złożony przeważnie z mieszkańców Kobrynic, nie należał do najliczniejszych, był wszakże przy całem ubóstwie środków, dobrze zorganizowany i odznaczał się niezwykłą karnością. Karność, ład, dyscyplina wojskowa nader ostra, którą Traugutt swą stanowczością wprowadzić umiał, wyróżniały ów oddziałek od innych. Taka karność spotykała się tylko u niego, lub u Edmunda Różyckiego, na Wołyniu, w pułku jazdy wołyńskiej. W obu też rzeczonych oddziałach dowódcy cieszyli się taką niezwykłą miłością swych żołnierzy, jak się to gdzieindziej nie spotykało. W latach późniejszych, na ziemi wygnania, żołnierze oddziału Traugutta na wspomnienie o wodzu odpowiadali łzą głębokiego żalu...

Owa noc przerażającej ciemności z dnia 7 na 8 maja, która była chwilą wybuchu w prowincyach, położonych na południe od Prypeci, patrzała na wystąpienie Kobryńskiego oddziału; miał nim Traugutt dowodzić. W głuchym, leśnym ostępie, na gruntach miasteczka Antopola, położonego o 4 mile

na wschód od Kobrynic, zebrał się poraz pierwszy oddział Kobryński czyli Traugutta, liczył on 160 zaledwie ludzi, którzy, chociaż zaliczali się do różnych zawodów, wszakże większość zaznajomiona była z myślistwem... Wprędce po północy przybył dowódca i w chwili, gdy słońce miało się ukazać z poza błot lasów ościennej Pińszczyzny, powitał tę garstkę zbrojnych, której miał przewodniczyć, energiczną przemową.

Przemówienie krótkie, nacechowane siłą, wywarło wrażenie niezmierne. Zapał tych ludzi, pełnych poświęcenia bezbrzeżnego, tych bezimiennych bohaterów, wzrósł do najwyższej potęgi. Poprzysięgli na owej leśnej polanie spełniać godnie obowiązek polskiego żołnierza i spełnili go, więcej niż ze ścisłością, z bohaterstwem.

Traugutt w swych przemówieniach publicznych, których zaledwie kilka słyszano, wywierał wielkie wrażenie, ani głos, ani postawa nie wskazywały mówcę, lecz prawda, tryskająca z każdego słowa, prawdziwe uczucie, stanowczość, logika niczem nieprzeparta, czyniły zawsze silne wrażenie. Tem jędrnem słowem, ba i przykładem własnym, prowadził na wroga swój oddzialik i nauczył go wprędce zwyciężać, acz w nierównym boju.

Po kilku zwycięzkich potyczkach, choć zwyciężeni pod Kołodnem, traugutowscy żołnierze nazajutrz znowu stanęli pod swą chorągwią, ale wódz był chory i warunki dalszego marszu przez Polesie tak trudnemi się okazały, iż Traugutt podzielił oddział na dziesiątki i ku Kobryńszczyźnie zalecił

im oddzielnemi gromadkami dążyć, trzymając się różnych dróg i ścieżek. Sam zaś z dwudziestu najdzielniejszymi czas jakiś posuwał się za nimi, lecz choroba zniewoliła go szukać wypoczynku. Żołnierze jego pod innem dowództwem dalej dążyli, lub szukali dla siebie później innych oddziałów, a Traugutt w bezpiecznem schronieniu nieco wypocząwszy, wyleczony i z siłami wzmocnionemi, podążył przez Kobryńskie i Podlasie do Warszawy, gdzie stanął w ostatnich dniach lipca.

Więcej niż dwa tygodnie od owej chwili bawił Traugutt w Warszawie, głównie, wyłącznie nawet, oddając się studyowaniu ówczesnego powstania, wychylając się mało na ulicę, nie tracąc już i wówczas czasu na wizyty lub czcze gawędy. Zresztą bezcelowe przepędzenie czasu zawsze od niego stało zdala: wszystko, co w ówczesnej Warszawie przykładało rękę do robót powstańczych — a kto do nich wtedy ręki nie przykładał? — pilnie krzątało się, tembardziej udziałem to stawało się tego czynnego umysłu... Pierwsze kroki, postawione na ówczesnym podminowanym przez powstanie bruku warszawskim, orzekały niejako o dalszych losach Traugutta. Przypatrywał się pilnie, przysłuchiwał się, o ile zdołał, w zakresie, dostępnym wówczas dla siebie, t. j. w zakresie spraw wydziału wojny— i postanowił nie wracać do obozu, ale swe siły, uzdolnienie, całego siebie niejako złożyć w ofierze sprawy narodowej. Na czele malutkich oddziałów, rozproszonych po obszarach Litwy mogli stać inni, on był powołanym do szerszej działalności, na

obszerniejszym widnokręgu, niż dowodzenie małymi oddziałkami wśród puszcz i dzikich ostępów litewskich. Sam zeznawał to wówczas wybornie, gdy o kilka miesięcy później, podczas swej tajemnej dyktatury, rzekł raz poufnie do mnie, którego w ostatnich miesiącach życia zaufaniem wielkiem obdarzał: „Zauważyłem, iż po lasach Polesia może chodzić kto inny“... Nie dodał wprawdzie „ja zaś mogę się przydać gdzieindziej z większym pożytkiem“. Konkluzya jednak sama przez się nasuwała się. On, widocznie, przedewszystkiem niezbędnym był w głównem centrum robót powstańczych.

Dyktatura Traugutta dnia 14 października.

Październikowa zmiana Rządu, wytwarzająca tajemną dyktaturę Traugutta, nie może się mienić ani zamachem, ani przewrotem, wypływającym z knowań spiskowych, było to jawne, przyjęte z oklaskiem przez wszystkich, rozpędzenie żywiołów, które długo bruździły, a nikt nie ośmielił się stawić czoła i ich usunąć bodaj brutalnie. Dokonał tego mąż niepospolity, który prawdziwie opatrznościowo staje na zachwianym gruncie władzy, aby podnieść jej moc i urok — i gdy nie stało dla niej miejsca na ziemi, oddać ją czystą i ofiarną Bogu. Posłannictwa tego podjąć się mocen on był jedynie, podjął się i spełnił ją po-bożemu, gdyż zaiste postać to wśród przedniejszych najprzedniejsza, wśród czystych górująca.

Wieczorem tegoż dnia już dyrekcye wydziałów były obsadzone, o ile możność pozwalała najlepiej.

Przewodniczący w nowej tej kombinacyi, która miała trwać najdłużej, ze wszystkich przedtem zawiązujących się, oświadczył dyrektorom wydziałów, że Rząd Narodowy to on, że z nim tylko bezpośrednio komunikować się będą, że on wreszcie, stosownie do własnego uznania, bądź zawiąże pewne koło rządzące, bądź nie, z ludzi mu wiadomych, w sposób jedynie jemu wiadomy, lecz i w takim razie całą odpowiedzialność wziąłby na siebie; wszystkie zaś najwyżej stojące czynniki od niego jedynie rozkazy brać, jemu posłusznemi być mają. Rzecz tak postawiona w pierwszym dniu rządów Traugutta nie była zmienioną aż do ostatniego dnia jego władzy i prac, który to dzień był już zarazem ostatnim dniem jego wolności (10 kwietnia 1864). Żadnego koła rządzącego on nie zawiązał. Od pierwszej do ostatniej chwili swych rządów, w ciągu 6 miesięcy, sam był wszystkiem: był dyktatorem tajemnym, o dłoni więcej niż sprężystej, o dłoni żelaznej, o takiej dłoni, jaka zawsze potrzebna dla polskich usposobień.

Dyrektorowie wydziałów zmieniali się, stosownie do okoliczności różnych, ale on wciąż, w ciągu owego ciężkiego półrocza rządów swych, był jeno sam, dźwigał na własnych barkach ciężar władzy i ciężar odpowiedzialności, z nikim troski niesienia brzemienia tego nie dzielił; współrządzących nie miał; obok niego, ani też nad nim nikogo nie było.

Sprawowanie dyktatury, praca nad rozwiązywaniem ciężkich zadań, wynikających z brzemienia,

które na swe barki dyktator tajemny wziął, odrazu, omal nie od pierwszego dnia, weszły w karby porządku, systematyczności wojskowej, od której nie odstępowano aż do końca, bez względu na trudności, piętrzące się coraz bardziej, bez względu na przerzedzające się szeregi pracowników, na grunt, z pod nóg usuwający się niemal codziennie, opadający niżej i niżej. Zapadano w przestrzeń bezdenną, ale dyktator stał u steru, wciąż spokojny, wciąż jednako, bez wytchnienia pracujący. Nic go nie trwożyło, nic nie osłabiało wiary w jutro, które umysł jego widział pomyślniejszem. Przetrwać, przetrwać, bądź co bądź—to jego hasło. „Umieliście pracować w warunkach lepszych, przyzwyczajcie się do gorszych, uczcie się pracować i w najgorszych“ — mawiał do tych, których ciągłe przeciwności przerażać zaczynały, wytrącały im z ręki oręż, a z serca wiarę w przyszłość.

O tragicznym końcu swym, jako o rzeczy bardzo możliwej, wciąż on myślał i wcale nie dorywcza to myśl, rzucona w jednym z listów jego, pisanym w lutym 1864 r. do pewnego wybitnego dowódcy powstania; widzimy tam słowa, wybornie odzwierciadlające jego pojęcia o władzy i o swej codziennej, zagrożonej codziennie pozycyi. „U nas—pisze on—władza nie jest celem ambicyi, ale aktem poświęcenia, a to, co głosimy, nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciem tak stałem i niezłomnem, że za nie w każdej chwili też życie dać jesteśmy gotowi i codzień je narażamy“.

I rzeczywiście „codzień je narażał" w tych wycieczkach na sesye z dyrektorami wydziałów i na owych sesyach, które zmieniały wciąż miejsce posiedzeń; niebezpieczeństwa nieraz jeszcze groźniejsze urastały z drobnych niekiedy przyczyn, potrzeba było nieustannie mieć się na baczności. Jak dalece ostrożność zachowywaną była przy widzeniach się z różnymi, to komisarzami, to ajentami, powołamy się na jednego z wiarogodnych działaczy ówczesnych, mających możność osobistego zetknięcia się z Trauguttem za dni jego dyktatury. Oto dr. J. Łukaszewski, komisarz pełnomocny w zaborze pruskim, pisząc o swej audyencyi, jaką miał u Traugutta, tak się wyraża: „Traugutt zawezwał mnie na konferencyę w cztery oczy. Dla większego skupienia ducha konferencya odbyła się wieczorem, w ciemnym pokoju, przy zamkniętych drzwiach". Nie o większe skupienie ducha tu chodziło, ale była to jedna z licznych ostrożności przedsiębranych w celu zabezpieczenia się od różnych, drobnych niekiedy wypadków, sprowadzających wielkie następstwa, brzemienne klęskami.

Po ukończeniu konferencyi codziennych, około 7-ej lub 8-ej godziny wieczorem, wracał do swego zacisza dyktator strudzony i wówczas to miał jedyną chwilę wytchnienia, trwającą dwie godziny, czasem nieco dłużej. Wtedy przybywałem do niego, zdając sprawę z udzielonych mi poleceń i następowała długa rozmowa, która po ukończeniu urzędowej wymiany myśli, wchodziła na tory przyjacielskiej pogadanki, podczas której dyktator zażywał prawdzi-

wego wytchnienia... Wśród poufnych rozmów, w których dyktator zawsze okazywał się człowiekiem pełnym wiary w swą misyę, kończył się dzień w cichej izbie samotnego domostwa na ulicy Smolnej. 10-ta godzina wieczorna była hasłem rozejścia się. I lampa, postawiona wówczas na biurku dyktatora, przyświecała jeszcze robocie z piórem w dłoni jeszcze trzy, cztery godziny. W owych to nocnych godzinach powstawały te liczne depesze, odezwy, listy, instrukcye, które tak obficie za dni dyktatury wychodziły z pod pióra Traugutta.

O godzinach popółnocnych głuchej nocy zimowej gasła wreszcie lampa samotnika, który w modlitwie szukał ukojenia po znoju pracowitego czuwania i myśl, zwrócona ku przedwieczności, zamykała dobę trudu.

Jaką widzieliśmy jedną dobę, takiemi wszystkie były dnie Traugutta. Wszystkie jednakie, poświęcone jednej myśli, jednem uczuciem przejęte. Smutny, niby w więzieniu zamknięty, wpatrzony w przyszłość, mającą przynieść wyzwolenie narodu, Traugutt przez cały półroczny okres dyktatury, stał już nieustannie niby na rusztowaniu, u słupa szubienicy: wszystkie swe myśli, uczucia, całą swą przeszłość, wszystkie swe rodzinne ukochania poświęcał codziennie na ołtarzu niepodległości Ojczyzny. Ile dni upłynęło podczas jego rządów, tylekroć razy on poświęcił siebie, całą swą ziemską istotę dla idei, którą żył, ku której urzeczywistnieniu dążył.

Dyktatury znamieniem głównem wiara w zwycięstwo bez obcej pomocy. Taką wiarą przejęty był

sam dyktator, taką pragnął przelać w serca swych współziomków. Przelanie wiary w niechybne zwycięztwo w serca swych współpracowników, w serca ogółu, ziomków oddających się zwątpieniu i beznadziejnej rozpaczy, to praca olbrzymia, na którą siły dyktatora — niestety — bezowocnie zużywały się; by cel ten najbliższy osiągnąć, należało walczyć z bojaźnią, ze zwątpieniem, coraz wzrastającem tłumów. Zniechęcenie, opuszczanie omdlałych dłoni rozszerzało się z niezrównaną szybkością wśród narodu, przelatywało kraj z gwałtownością pożaru, niszczącego słomianą strzechę.

Pomimo zwątpienia rozpaczy, które ku końcowi dyktatury przeważnie zaczęły w kraju wzrastać i rozszerzać się w pierwszych tygodniach Trauguttowskich rządów, dużo otuchy wstępowało do serc i umysłów zastępów organizacyi, a z ich umysłów ten pierwiastek wiary w siebie samych zaczął potroszę przenikać do szerszych kół społeczeństwa. Pod kierunkiem stanowczej dłoni dyktatora, sprawy powstańcze zaczęły iść porządniej, szybciej i raźniej, „wiara i otucha w lepszą przyszłość — jak twierdzi jeden z przedniejszych urzędników organizacyi — w serca wstąpiła“. Dyktator wszelkich wysiłków nie żałował w celu utrzymywania tej „wiary i otuchy“: przeświecają jego usiłowania, w rzeczonym celu łożone, w mnóstwie listów, instrukcyi, które zarówno do władz wojskowych, jak i cywilnych redagował i wysyłał.

W czasach nawet najgorszych, gdy zwątpienie rozwielmożniać się zaczęło i górować ponad wszyst-

kiem—na dwa tygodnie przed swem uwięzieniem— nie przestaje Traugutt przemawiać słowem takiej energii i pewności siebie, jakby w dniach pogodnych dla powstania, które to dnie już były dla nas stracone. Oto, jak woła do jednego z dowodców: „K. niech rusza coprędzej, a po wyjściu podsyłać mu ludzi i broni. Bić się tem trzeba, co mieć można, nie czas wybredzać i przebierać. Zapomniał, że w roku zeszłym szczęśliwy ten był, kto z dubeltówką wychodził. Więcej wiary i energii, a mniej wymagań, to się rzeczy prędzej zrobią“. A na dni kilkanaście przedtem, w innych sprawach snuje nić śmiałych konjunktur i tak wyrazami zachęty przemawia: „Bywa czasem, że to, co dziś do prawdopodobnych rzeczy zaliczyć trudno, jutro okazuje się prawdziwem. Miejcie się przytem na baczności i bądźcie gotowymi na wszystko“.

Dla urzędników organizacyi, przekraczających swe atrybucye, był surowym; przeważnie w miejskiej organizacyi Warszawy spostrzegać się to dawało; wedle jego wskazówek ową organizacyę stolicy oczyszczał pilnie z chwastów warcholstwa naczelnik miasta, energiczny Waszkowski. „W urzędach naszych mieć chcemy gorliwych wykonawców woli naszej; sądzić nas kto inny będzie“, tak pisał dyktator do jednego z wyższych funkcyonaryuszy powstania i myśl w powyższych zawarta wyrazach przewodniczyła jego postępowaniu w stosunkach z władzami, mu poddanemi. Rygor, karność wojskowa, górująca niegdyś w jego maluczkim obozie powstańczym wprowadzone były, o ile się dało, do

szeregów organizacyi cywilnej. Wichrowatym głowom dawano dotykalnie do poznania, że ich czas przeminął, że bruździenie dalsze niemożliwe... Traugutt wszelkich usiłowań dokładał, aby z oddziałów powstańczych, rozrzuconych po kraju, nie mających z sobą żadnej wojskowej spójni, gdzie każdy dowódca mienił się i był rzeczywiście „właścicielem oddziału", utworzyć wojsko, o ile możność pozwala, regularne, a przynajmniej kadry wojska. Nazwy nawet takie jak „partya", „oddział" zostały usunięte na mocy dekretów dyktatora: natomiast występuje nazwa „wojska".

Uwięzienie Traugutta.

Dnia 10 kwietnia 1864, uwięziony został Dubiecki. — „Nie wiemy, jak długo czuwał Traugutt wieczorem w dniu tym, gdy smutnemi myślami był przygnębiony, który to dzień stać się miał ostatnim dniem jego dyktatury, ale wiemy, iż o godzinie 1-ej w nocy posłyszał bardzo głośne, natarczywe dzwonienie. Udał się do pokoju środkowego i zakołatał mocno do drzwi Kirkorowej (gospodyni domu), mówiąc: „Po panią przyszła policya".

Przerażona kobieta, nie tracąc wszakże nigdy panowania nad sobą, pośpieszyła odemknąć drzwi główne, u których już od dłuższego czasu dzwoniono. Nie było wątpliwości, iż naszli dom, by kogoś uwięzić.

Orszak zbrojny zapytał o lokal p. Michała Czarneckiego i tam wtargnął. Traugutt był w łóżku. Ujrzawszy wchodzących, rzekł ze spokojem sobie właściwym: „to już".

Tak, już wszystko runęło, już z poza osłony złudzeń stawała przed nim rzeczywistość straszna, nie dla niego—bo siebie oddawna poświęcił dla ojczyzny—ale straszna dla Polski, wchodzącej do nowego cyklu cierpień; już stał przed nim kielich ofiary, przeznaczony do spełnienia—spełnił go tak wzniośle, jak wzniosłem a niezwykłem było to jego przejście przez ówczesną arenę dziejową.

Śmierć Traugutta.

4 sierpnia — a był to czwartek, dzień pogodny, ciepły, tak bardzo słoneczny, iż zdawało się, mógłby rozniecić nadzieję nawet w sercach samotnych więźniów — około 10 z rana, byłem (Dubiecki) wyprowadzony na chwilową przechadzkę. Przechodząc koło jakiegoś drewnianego przepierzenia w korytarzach więziennych, posłyszałem głos donośny: „Czego się przechadzasz? Wracaj do swej celi; pięciu kapucynów przybyło, zapewne jeden dla ciebie“. Głos to był Jarosława Dąbrowskiego, który od roku, przebywając w więzieniu cytadeli, wybornie obeznał się ze wszystkiemi sposobami komunikowania się z więźniami i nieustannie przekraczał przepisy więzienne. Wróciłem do swej celi i wnet zatelegrafowałem do Traugutta... Odpowiedź brzmiała: „Mam księdza“. Kiedy po paru godzinach z Nr. 19 (cela Dubieckiego) do 20-go (Traugutta) znowu zakołatano, odpowiedź po dłuższej chwili nadeszła: „Modlę się“. Dobę całą spędził więzień z 19 numeru u muru, oddzielającego od celi Traugutta, oczekując, ażali pukanie nie wydzwoni chociaż jednego słowa.

Godziny jednak upływały i najmniejszy szmer z poza ściany nie dobiegał. Więzień czekał dzień cały, czekał noc całą, nie udając się wcale na spoczynek. Czekał i modlił się wśród nocnej ciszy... Ciszy nic nie przerywało. Powoli upływały godziny dnia, a jeszcze wolniej biegły godziny nocy; jutrzenka, zwiastun dnia strasznego, owego 5 sierpnia, weszła do celi więźnia i zastała go w tej pozycyi, w jakiej zostawiło zachodzące słońce. Ciszy z poza muru nic nie przerywało. Aż wreszcie, około godziny 8-mej z rana, szybko wydzwoniło pukanie jeden wyraz... wyraz ostatni: „do widzenia". Po chwili rozległ się szczęk broni i przyspieszone ciężkie kroki wielu dały się słyszeć u drzwi celki oznaczonej Nr. 19. Tłum zbrojny szybko przeszedł, a echo przejścia wprędce umilkło w głębi budynku. Traugutt to szedł na śmierć. W godzinę potem na stokach cytadeli tracono go. Inkwizycya pragnęła traceniu Traugutta nadać niezwykły rozgłos, wytworzyć z owej chwili epilog powstania. Pod tym ostatnim względem miała słuszność zupełną: był to epilog.

Powstanie skonało w ową noc kwietniową, gdy Traugutta ujęto; zgaśnięcie powstania stało się zarazem chwilą zgaśnięcia władzy powstańczej Rządu Narodowego. We 4 miesiące po zgaśnięciu Rządu Narodowego Rosya, święcąc swój tryumf u słupa szubienic, na stoku cytadeli warszawskiej dnia 5 sierpnia 1864 r. ogłosiła światu o owym zgonie władzy powstańczej, wcielającej w sobie wolę najwyższą narodu i ideę jego niepodległości.

Spowiednicy wnet po egzekucyi podążyli do domów i rodzin straconych i zdawali sprawę z tego, co przed ich okiem przesunęło się... Spowiednik Traugutta nie miał do kogo udać się. Zamordowany dyktator nikogo z rodziny nie miał w Warszawie; ale wiemy, że dysponujący go na śmierć kapucyn zdumiał się wobec ogromu rezygnacyi, wobec nieskazitelności duszy a chrześciańskiego bohaterstwa, z jakiem Traugutt śmierć spotykał. Bolesną pracę dysponowania skazanych podejmował ten kapłan w życiu swem wielokrotnie, lecz jak twierdził, pełen kornego podziwu, nie spotykał nigdzie, chyba na kartach martyrologii, ludzi, którzyby szli ku bramom wieczności z takim spokojem prawdziwie nieziemskim, z jakim szedł Traugutt.

W kilka dni po zgonie Traugutta, gdy na stokach cytadeli warszawskiej wznoszono nowe szubienice dla trzech skazanych, z których dwóch z rusztowania miało pójść na Sybir, dysponował jednego z mających być ocalonymi tenże kapłan, który Trauguttowi towarzyszył w ostatnich chwilach pod szubienicą. Otóż ów kapłan, dysponujący na śmierć swego penitenta, jako wzór prawdziwie chrześciańskiego zgonu, sławił mu naprzód bohaterów, ginących dla imienia Chrystusowego, na arenie pogańskiego świata, a obok nich podnosił imię Romualda Traugutta. To imię miało wzorem być, źródłem odwagi, przykładem wzniosłym dla skazanego. Gdy wreszcie egzekucya rozpoczęta nie została dokonaną i skazany zstąpił z rusztowania, wówczas kapłan uradowany darował mu krucyfiks,

z którym w dłoni Traugutt umierał: „Nic cenniejszego dać ci nie mógłbym, mój synu, nad tę pamiątkę, po owym mężu prawdziwie świętym“, mówił kapłan odchodzącemu. Zdarzenie to jest jeszcze jednem świadectwem owego bohaterskiego ducha Traugutta, który wszędzie i zawsze, czy na polu pracy, czy w epoce ostatnich wysiłków, gdy podnosił wysoko sztandar Polski wojującej o niepodległość, czy na rusztowaniu, był podziwem dla wszystkich.

(Maryan Dubiecki — Wyjątki z książki „Romuald Traugutt“.)

REPRESYE W WARSZAWIE

w 1864 r.

Podczas kiedy na prowincyi każdy naczelnik wojenny był panem mienia, a jak wkrótce obaczymy, i życia obywateli kraju, Warszawa jęczała pod daleko gorszym i systematyczniejszym uciskiem. Tutaj za najmniejsze niedokonanie formalności meldunkowych, za lada nieporządek domowy nakładano na właścicieli domów, zakładów fabrycznych i przemysłowych kary pieniężne, sięgające nieraz do znacznej wysokości. Dość jest przejrzeć ówczesne dwa dzienniki urzędowe „Gazetę policyjną“ i osławiony „Dziennik powszechny“, w których wykaz tych kar jest drukowany, by się przekonać do jakiego stopnia dochodził ten bezprzykładny, bezczelny ucisk. Bywają dnie, w których kary te ogółem dochodzą do kilkunastu tysięcy rubli. Szynkarz, który późno zamknął swój szynk, właściciel t. z. restauracyi lub kawiarni, gospodarz domu, w którym ktoś przeby-

wał niemeldowany policyi, w razie wykrycia tego faktu okładany był zawsze wysoką karą pieniężną, częstokroć rujnującą go z kretesem. Na ulicy Ordynackiej, przed domem hr. Krasińskiego, zabito policyanta Józefa Galińskiego. Krasiński musiał za to zapłacić 5000 złp. W domu № 1559 zabito w Marcu jakiegoś dymisyowanego podoficera Kamińskiego [1]), i za to właściciel, prawdopodobnie nic niewinny, skazany został na 20,000 złp. kary, a w razie jej nieuiszczenia, zagrożono mu zajęciem domu na użytek wojskowy. Pani Wiktorya Skarzyńska zamieszkała w domu № 1585, za to, że miała ukryte w szafie różne wiersze patryotyczne i gazety rewolucyjne, skazaną została na 13,000 złp. kontrybucyi, którą musiała wnieść do kasy rządowej w ciągu dziesięciu dni. Józef Heldt, kupiec, za złożenie podatku narodowego w ilości 2000 złp., skazany został na 6000 złp. kary. W dniu 8 Marca, bierzemy pierwszą lepszą datę, skazanych zostało na kary pieniężne jedenaście osób; następnego dnia cyfra ta dochodzi do 67 osób; do 10 Marca jest tylko ośmiu kontrybuentów, ale za to d. 14 jest ich aż stu dziewięciu [2]). Kary naznaczone w d. 18 Marca wynoszą ogółem przeszło 25,000 złp. [3]).

---

[1]) Zaznaczyć tu wypada, że było to ostatnie zabójstwo polityczne w Warszawie.

[2]) Patrz odpowiednie numera „Dziennika Powszechnego“.

[3]) Dodajemy tu w rublach wykaz kar nałożonych w ciągu czterech miesięcy. W Styczniu rb. 3825, w Lutym rb. 4865, w Marcu rb. 12,850, w Kwietniu rb. 50,066 kop. 20. Ogółem

Mogliśmy tę listę do nieskończoności przeciągnąć, gdyby nie to, że przytoczone przez nas przykłady dosadnemi barwami malują ten okropny stan, w jakim była ówczesna Warszawa. Jak dawniej tak i teraz po ulicach nie wolno było chodzić wieczorem bez zapalonej latarki, a nawet z latarką można było chodzić tylko do godziny 11-ej. To też o tej porze ulice miasta przemieniały się w formalną pustynię, uderzały posępną ciszą przerywaną tylko krokami patroli lub brzękiem szabli oficera rosyjskiego. Jak dawniej tak i teraz nikt nie mógł wyjechać za rogatki miasta niemając karty pozwolenia, wydawanej przez oberpolicmajstra. Bez pasportu na odległość mili ruszyć się nie można było, a na stacyach kolei w Warszawie wszystkich przybyłych wstrzymywano i niewypuszczano z dworca, dopóki jak najściślejsza rewizya pasportów, kufrów, pakunków a bardzo często i osób nie była dokonana. Za pogrzebem mogła tylko iść najbliższa rodzina zmarłego i do tego zaopatrzona w wydawane na ten cel karty. Później, w Marcu 1864 r., rozporządzenie to rozszerzono nieco, doprowadzając je współcześnie do absurdum. Listę osób bowiem, mogących iść za pogrzebem, oznaczono w stosunku opłaty pokładnego. I tak: za opłatą rb. 1 pokładnego, orszak pogrzebowy mógł się składać tylko z dziesięciu osób; kto zaś zapłacił

---

rb. 71,556 kop. 20. W to nie wchodzą drobniejsze kary, gdyż często spotykamy w „Dzien. Pow." tylko wzmiankę, że tyle a tyle osób skazanych zostało na kary pieniężne, bez wykazania wysokości tych kar.

złp. 400 (rb. 60) mógł zabrać na pogrzeb sześćdziesiąt osób. Noszenie żałoby w ogólności było poddane jak najściślejszej kontroli. Nie wolno było pokazywać się w żałobie na ulicy nie mając przy sobie piśmiennego na to pozwolenia i każden policyant miał prawo żądać okazania tego pozwolenia. W końcu nawet doszło do tego, że policya wkroczyła w zakres obyczaju i uczuć osobistych i pozwoliła kupcom, mieszczanom, właścicielom domów i majstrom rzemieślniczym nosić żałobę tylko przez trzy miesiące, szlachcie zaś sześć miesięcy [1]). Do takich to nonsensów dochodziła samowola ówczesnych władców kraju.

Do tego wszystkiego dodać należy szereg gwałtów codziennie wykonywanych w oczach wszystkich, szereg upokorzeń i brzydkiej mściwości władz rosyjskich. Każden policyant mocen był aresztować idącego ulicą przechodnia, zaprowadzić go do cyrkułu policyjnego i tam poddać ścisłej rewizyi bez względu na płeć, stan i wiek. Jakie się przytem działy nadużycia, jakie oburzające gwałty, znając ówczesnych przedstawicieli rządu rosyjskiego w Polsce, nie potrzebujemy mówić. Z okrucieństw i gwałtów tego rodzaju, zyskał sobie nawet sławę komisarz ósmego cyrkułu policyjnego Rydzewski, oczywiście Polak. Każdego aresztowanego, przyprowadzonego przed oblicze swoje, bił osobiście, kopał nogami, mordował. W końcu za skatowanie rózga-

---

[1]) Rozkaz do policyi wykonawczej z d. 25 Marca 1864 r. „Dzien. Powszechny“ № 71.

mi kobiety ciężarnej, fakt który ogromnego narobił w swoim czasie hałasu, przeniesiony został „dla dobra służby“, do cyrkułu dziesiątego na Nowym Świecie, co w każdym razie uważać należy za awans. Tutaj Rydzewski postępował tak samo. Za ukaranie czterdziestu rózgami i przetrzymanie całą noc w areszcie policyjnym ucznia klasy siódmej z gimnazyum drugiego, Jabłońskiego, dostał wkońcu ten potwór dymisyą na to tylko, by za parę tygodni znowu otrzymać nominacyą na komisarza policyi na Pradze. Wysoki, chudy, miał minę dzikiego zwierza, a w domu, według wieści, drżał przed swoją żoną, istną podobno Megerą[1]).

Aresztowania, rewizye po domach były na porządku dziennym. Ani dnia, ani nocy nikt nie miał spokojnej. Bramy domów przez cały dzień były zamknięte, to też wśród ciszy nocnej rozlegające się stukanie, było oznaką, że policya idzie rewidować lub aresztować kogoś. Na ulicach miasta wojskowi rosyjscy okazywali niesłychaną butę i zuchwałość; prosty policyant nigdy inaczej nie przemówił do najszanowniejszego obywatela, do kobiety, jak „ty“. Baron Korf, głośny z dokonanego rabunku w pałacu Andrzeja hr. Zamoyskiego, po zamachu na Berga, odznaczał się swego rodzaju okrucieństwem. Z obowiązku swego wydawał on co poniedziałek

---

[1]) Na Pradze o mało nie dostał się pod sąd za zabicie człowieka. Ocaliła go Polka, pani S***, która miała między jenerałami rosyjskimi tej doby swe znajomości i wpływy. Za pieniądze można było zyskać jej protekcyą.

kartki dla krewnych więźniów w cytadeli z pozwoleniem ich odwiedzenia. Rzecz prosta, co poniedziałek tłumy, z kobiet przeważnie złożone, oczekiwały na schodach mieszkania pana plackomendanta na te kartki. Czasami przychodziła panu baronowi, potomkowi inflanckich raubritterów, fantazya sprowadzenia sikawek i oblewania wodą tłoczących się nieszczęśliwych petentek. Było to już okrucieństwo, na określenie którego niema wyrazu.

(„Ostatnie chwile powstania styczniowego“—Z. L. S.—Poznań, 1887.)

OSTATNI POWSTANIEC.

Ostatnim epizodem powstania podlaskiego było schwytanie i powieszenie w mieście Sokołowie księdza Brzoski Stanisława, b. wikaryusza w Łukowie, jednego z najwytrwalszych i najbardziej wpływowych dowódzców powstania. Brzosko umiał sobie wytworzyć między ludem szczerą miłość tak dalece, że w każdej chacie znajdował przytułek i bezpieczeństwo [1]) i urósł wskutek tego w napół mityczną postać, o której pełno legend rosnących coraz bardziej w niebywałe dziwy, dotąd obiega [2]).

Przez cały 1864 rok, w chwili gdy już nigdzie powstania nie było, ks. Brzosko dowodził konnym

---

[1]) Wsiepoddanniejszyj otczet p. 175.

[2]) Opowiadają, że zjawiając się nocami w chatach włościańskich miewał do ludu kazania, przyczem włosy mu się świeciły od jakiejś materyi, którą je smarował.

i bardzo nielicznym oddziałkiem, około 40-tu ludzi, z którym ukrywał się stale w lasach łukowskich, w pośrodku t. z. „błot Jackich“ na wysepce, złączonej wązkiem przejściem z twardym brzegiem błota, pokrytego zawsze wodą. Dnia 19 Października 1864 r. po licznych i szczegółowych poszukiwaniach, gdyż gniewało to rząd rosyjski, że wobec ogólnej, martwej ciszy jest jeden ksiądz, który śmie stawić czoło zwycięzcom, wykryto nakoniec to schronienie. Znaleziono tam szałasy, oraz niewielki skład broni i amunicyi. Odtąd poczęto zawzięcie ścigać nędzny oddziałek Brzoski. Ze wszech stron wysyłano podjazdy konne i patrole piesze. Z Warszawy wyruszył na czele swych kozaków Kubańskich sławny i znany nam już z rozbicia Wróblewskiego, Zankisow; ale i on nic nie zrobił. Brzosko, jak bajeczny bohater, znikał tam, gdzie spodziewano się go znaleść. W całem Siedleckiem zarządzono mnóstwo obław, w których brało udział spędzone chłopstwo. Schwytano w tych obławach prawie wszystkich czterdziestu towarzyszy wytrwałego księdza, ale jego samego nie znaleziono. W kraju pomimo ogólnego znużenia i apatyi, baczną zwracano uwagę na ten rzadki i jedyny w swoim rodzaju pościg.

Nakoniec udało się porucznikowi pułku Rewelskiego piechoty, niejakiemu Tołmasowowi, napaść na ślad Brzoski. Dowodząc podjazdem, wysłanym na poszukiwanie tego księdza, Tołmasow dowiedział się od licznych szpiegów, przeważnie żydów suto opłacanych za to by wyśledzili Brzoskę, że ten, z czterema ostatnimi towarzyszami, nocuje we

wsi szlacheckiej Przewuski, w powiecie Łukowskim. Działo się to w nocy z 28 na 29 Grudnia 1864 r. Tołmasow o świcie dnia 29 Grudnia otoczył swymi 35 Kozakami i 11 żołnierzami piechoty wzmiankowaną wieś i nakazał kolejną i jak najściślejszą rewizyę wszystkich domów. W zagrodzie Adama Przewuskiego, kozak, nazwiskiem Popow, i trzech szeregowców zauważyło zamkniętą szopę, której otworzenia właściciel odmówił. Wówczas rewidujący odbili zamek, ale w szopie jak i wszędzie nic nie znaleźli. Kozak Popow atoli zauważył, że na belkach leżą snopy; wlazł tam i kłując snopy pałaszem nagle został silnie uderzony kolbą przez jednego z powstańców, który wyskoczył ze słomy. Kozak spadł na ziemię, a towarzysze jego ledwie zdołali porwać ranionego i wynieść ze stodoły, gdy powstańcy dali ognia i, wypadłszy ze szopy, pobiegli ku pobliskiemu lasowi. Tołmasow spostrzegł to i chciał im zabiedz od lasu, ale raniony kulą w lewy bok, padł na ziemię. Podoficer Dembczenko ścigał dalej uciekających, zabił dwóch, reszta a z nimi Brzosko ocalała.

W początkach Marca 1865 r. Brzosko ukrywał się u sołtysa i kowala zarazem, Ksawerego Bielińskiego, we wsi Sypiszkach Szlacheckich pod Sokołowem, wraz ze swym adjutantem, Franciszkiem Wilczyńskim. Władze rosyjskie wiedziały dobrze o tem, że Brzosko ukrywa się w okolicach Sokołowa i wskutek tego wysyłano tam kilkakrotnie kozaków z Warszawy pod wodzą wspomnianego Zankisowa, ale pomimo kilkutygodniowych poszu-

kiwań Brzoski znaleść nie mogli. Tymczasem denuncyacye, zwłaszcza przez żydów nadsyłane, coraz bliżej określały miejsce pobytu Brzoski. Wymieniono najprzód wieś, potem dom sołtysa Bielińskiego; ale i te dane na nic się nieprzydały. Najszczegółowsze, najstaranniejsze rewizye u Bielińskiego nic nie wykryły i wykryć nie mogły, gdyż Brzosko siedział za podwójną ścianą, za którą się ukrywał w razie pojawienia się nieprzyjaciela. I byłoby to może bardzo długo trwało, gdyby według jednych nie wykrył przypadkiem schronienia Brzoski jakiś żyd, według drugich umyślnie w tym celu wysłany z Warszawy zręczny ajent policyjny; właściwie jednak złożył się na to cały szereg nieszczęśliwych okoliczności i przypadek. Oto jak się rzeczy miały:

W miasteczku Kałuszynie, leżącem przy szosie Warszawsko-Brzeskiej, trzymała poczthalteryę wdowa, niejaka Mikulska, u której miało się znajdować nieco broni, zachowanej jeszcze z przeszłego roku. Zwrotu tej broni, z rozkazem zdaje się samego Brzoski w ręku, zażądał od Mikulskiej jeden z mieszkańców Kałuszyna, nazwiskiem S***. Wdowa tłomaczyła się, że broni tej nigdy nie miała, a gdy domagający się począł jej grozić karami, wówczas syn jej Leopold Mikulski, znany później w dziennikarstwie warszawskiem, udał się o pomoc do żołnierza, stojącego w Kałuszynie pułku Estońskiego piechoty. Aresztowano natychmiast S*** i odstawiono do naczelnika wojennego powiatu Stanisławowskiego, majora von Kremera. Rozkaz piśmienny znaleziono przy aresztowanym i ten zeznał, że otrzy-

mał go od niejakiej panny A. K., zamieszkałej we wsi Stary dwór. Wówczas naczelnik komendy żandarmskiej w Mińsku Mazowieckim, sztabs-kapitan Czygiryn, odbył ścisłą rewizyę i śledztwo w Starym dworze, gdzie dowiedział się, że ksiądz Brzosko bywa tu często. Panna A. K., uwięziona i badana, po długim oporze wydała w końcu miejsce pobytu ostatniego dowódzcy powstańczego.

Jakoż w dniu 29 Kwietnia 1865 r. naczelnik wojenny powiatu Stanisławowskiego, wspomniany już major von Kremer i żandarm sztabs-kapitan Czygiryn udali się na czele dziesięciu kozaków i dwóch żandarmów do wsi Sypiszki szlacheckie do domu sołtysa Bielińskiego, gdzie podczas dokonywania rewizyi przywitani zostali strzałami. Obaj rycerze drapnęli na dziedziniec, a w tejże chwili we drzwiach chaty ukazał się ksiądz Brzosko z rewolwerem w ręku, a za nim Wilczyński, który nabijał i podawał swemu dowódzcy broń. Ciągle strzelając, Brzosko począł biedz ku lasowi, ale nieszczęściem potknął się i upadł. Tu schwycił go wachmistrz żandarmów, a choć Brzosko przytknął mu do czoła pistolet, ten jednak spalił na panewce. Schwycony, ranny w rękę, oddał rewolwer wachmistrzowi, mówiąc: „weź go sobie na pamiątkę“. [1])

---

[1]) Wszystkie powyższe szczegóły czerpiemy z książki: „Pamiątka dla rodzin polskich“ I, 24; z pracy Mikołaja Berga „Polskoje wozstanie“ (Ruskaja starina r. 1879, str. 668) z dzieła „Wsiepoddanniejszyj otczet“, str. 176 i 177, z raportów urzędowych i nakoniec z ustnych opowiadań i poszukiwań czynionych w okolicach Sokołowa.

W trzy tygodnie potem, dnia 24 Maja 1865 r., o godzinie jedenastej rano, powieszono w Sokołowie Brzoskę i jego adjutanta Wilczyńskiego. Tak umarł ostatni dowódzca podlaski i ostatni, śmiało rzec można, powstaniec, jedyny bodaj z wodzów ruchu 1863/4 roku, który wyraźnie nosił charakter ludowy.

(„Ostatnie chwile powstania styczniowego"—Z. L. S.—Poznań, 1887.)

Spis rzeczy.

